Nr. 8. Lwów — Czwartek dnia 10 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech 1 „ 50 „
w innych państwach 2 „ [illegible]
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym g rmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Pt. św. Pawła Pust. Jutro: Sob. św. Higiniusza | SS. Młodenciw Anysyi M.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 7 m. 55. Zachód „ 4 „ 20
Długość dnia g. 8 m. 25. Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 9 stycznia.

Wczoraj zebrały się dwa parlamenty: francuski i niemiecki, w obu zaś jedna kwestya narzuciła się rządowi i deputowanym, z tą jednak różnicą, że we Francyi jest to sprawa konieczna, a w Niemczech tylko możliwa. Idzie o wybór prezydenta izby, czyli o rzecz o tyle ważną, że z przebiegu jej można będzie sądzić o usposobieniu tych ciał prawodawczych. Długoletni prezydent parlamentu niemieckiego von Levetzow, który przetrwał na swym posterunku wszystkie zmiany kanclerskie i ministeryalne, stał się w ostatnich czasach przedmiotem zgryźliwych uwag, które ubodły jego miłość własną, wyhodowaną długiem powodzeniem i popularnością. Chciał koniecznie skończyć przed świętami pierwsze czytanie ustawy przeciw wywrotowcom, ale deputowani, nie robiąc mu jawnej opozycyi, zdekompletowali posiedzenie. Następnie zaś, jako szef prezydyum parlamentarnego, przybył na przyjęcie noworoczne u cesarza w mundurze majora pruskiej landwery. Te dwa wypadki podniosły przeciwko niemu opinię krajów niepruskich. Zarzucono mu, iż na stanowisku przedstawiciela związkowego parlamentu postępuje wyłącznie jak Prusak i pruskie sprawy zbyt gorąco bierze do serca. Tak naprzykład, ustawa przeciw wywrotowcom potrzebna jest wrzekomo tylko królestwu pruskiemu, ma wygodny spokój zapewnić Berlinowi i rezydującym w nim władzom centralnym, a kraje niemieckie i stolice ich mogą wybornie obejść się bez tej ustawy, nadto zaś — jeśli już przypuścić, że wyjątkowe środki przeciw socyalistom są potrzebne — to obmyślenie ich przedewszystkiem należy do sejmów krajowych, jako sprawa ściśle wewnętrza. Tymczasem Levetzow, przejęty pruskim duchem i rozumiejący cesarstwo niemieckie jako Wielkie Prusy, chciał corychlej przeforsować antisocyalistyczną ustawę, chociaż opinia publiczna nie zdołała jeszcze wypowiedzieć w prasie swoich zapatrywań. Tak rozumują partykularzyści bawarscy, szwabscy, sascy i różni inni. Oczywiście, socyaliści bardzo zręcznie ich podtrzymują, a z pomocą pośpieszyli im wszyscy postępowcy i ludowcy, którym na rękę każda psota wyrządzona rządowi, zwłaszcza że prądy u góry zapowiadają powrót do starego kursu. Mundur pruskiego majora, w którym Levetzow stanął przed cesarzem na czele deputacyi parlamentarnej, zaszkodził mu nietylko w partykularystycznych, ale także w sferach zupełnie lojalnych względem wersalskiego układu. Berlińskie dzienniki, jako przedewszystkiem pruskie, gorąco wzięły Levetzowa w obronę i tem może tylko zaogniły sprawę, w gruncie rzeczy drobiazgową; posypały się ostre odpowiedzi z Monachium, Stuttgardu, Drezna i powstała walka, dowodząca niezbicie, że partykularyzm żyje, wzmaga się i chyba nie może być nazwany martwą ideą. Bądź co bądź przecież kilkowiekowa historya silniej wraziła się w obyczaje i cały skład życia niemieckich plemion, niż kilka wojennych sukcesów, których następstwem jest zjednoczenie Niemiec. Pod świeżem wrażeniem zwycięstw militarnych wszyscy Niemcy zapałali do jedności, zwłaszcza że z łaski swych poetów widzieli ją w tęczowych barwach rozkosznej idylli; ale gdy wrażenie świetnych zwycięstw już się zatarło, pod wpływem nowych prądów i potrzeb, i gdy tęczowa idylla jedności przedstawiła się w formie coraz większych podatków, coraz mniejszego znaczenia krajów i ich stolic, którym wszystko począł zabierać Berlin, natenczas przeszłość, błękitniejąca w dali, jęła rysować się tęsknej wyobraźni w barwach bardzo ponętnych. Dawne dolegliwości rozczłonkowania narodowego poszły w zapomnienie; dolegliwości dzisiejszego zjednoczenia gniotą i często obrażają ambicye; więc partykularyzm rośnie, może nie tak silnie i gwałtownie jak we Włoszech, ale tu i tam jedna przyczyna jedne wywołuje następstwa. Prusy dotąd nie zawsze rozumieją, że muszą dla utrwalenia cesarstwa zlać się z Niemcami, zawsze jeszcze czasami chcą być nad niemi, więc i teraz, jak się zdaje, zamyślają wezwać sobie na pomoc kurs bismarkowski. Są to zrozumiałe oscylacye, po których musi utrwalić się kurs nie bismarkowski, lecz ogólno niemiecki, a wtedy partykularyzm zniknie. Tymczasem jednak muszą powstawać takie zatargi, jak niniejszy o Levetzowa. Niezawodnie będzie on ponownie wybrany prezydentem parlamentu, jeśli się poda do dymisyi, bo idzie o pokazanie, że partykuryzm nie ma siły, jest nierozumny i zdrożny. Zawsze jednak ten wypadek powinien być przestrogą dla Prus.

Wybór prezydenta izby francuskiej ma także ważne polityczne znaczenie. W grudniu, po śmierci oportunisty Burdeau, wybrano radykała Brissona większością 36-ciu głosów. Była to niemiła niespodzianka dla Casimir-Periera i rządu, gdyż Brisson należał do opozycyi, chociaż w ostatnich czasach począł się skłaniać ku umiarkowaniu i głosował przeciw rewizyi konstytucyi, a za obostrzeniem ustawy prasowej; okazał nawet zrozumienie potrzeb państwowych, gdyż wbrew uchwale własnego stronnictwa przemawiał za zaborem Tonkinu, a niedawno za wojną z Madagaskarem. Zawsze jednak był przeciwnikiem Periera i ministeryum Dupuy, a kandydatem radykałów i socyalistów. Ci jednak stanowią ogromną mniejszość, więc jeśli kandydat ich przeszedł, to znaczy, że wiele członków rządowego stronnictwa skrycie sprzyjało prądom o wiele skrajniejszym od tych, które reprezentują Perier i gabinet Dupuy. Dlatego grudniowy wybór Brissona sprawił wrażenie i wywołał pytanie, ażali Francya nie wraca ku porzuconej „koncentracyi republikańskiej“, w której żywioły umiarkowane szły razem z radykalnymi i im się poddawały, aby jeno uratować formę republikańską od zamachów monarchicznych i bulanżerskich. Jednakże przykre wrażenie minęło i wrócił spokój, gdy wytłómaczono sobie, iż bardzo wielu deputowanych z większości głosowało na Brissona, aby nie głosować na jedynego kontrkandydata jego Meline'a, który — chociaż należy do większości rządowej — ale nie ma miru wśród oportunistów za swą protekcyjną politykę handlową. Wysunięcie go z tłumu deputowanych na wybitny posterunek prezydenta oznaczałoby, że jego handlowa doktryna nie wzniecą odrazy, a zarazem ułatwiłoby mu przy sposobności objęcie prezydentury w gabinecie, co już raz mu się udało na nieszczęście wolnohandlowców francuskich. Więc tylko dlatego zwyciężył w grudniu Brisson, że miał takiego przeciwnika. Zawsze jednak ten wybór opozycyonisty był dla rządu nieprzyjemny, a to tembardziej, że miasta francuskie przy wszystkich uzupełniających wyborach stale teraz demonstrują przeciw umiarkowanemu kierunkowi, wybierając na deputowanych ludzi, odsiadujących kary więzienne, czyli tak zwane „ofiary rządu.“ I tak, w Lille'u wybrano socyalistę Lafargue, w Marsylii — wypędzonego nauczyciela Carnauda, w Paryżu — skazanego na rok więzienia za obrazę prezydenta republiki redaktora anarchicznego świstka *Chambard*, niejakiego Gérault-Richarda, wreszcie w Lugdunie o mandat zmarłego Burdeau ubiegają się dwaj skompromitowani radykaliści: oddalony za nadużycia gubernator Indo-Chin, Lanessan, i również wypędzony ze służby za nadzwyczajne zgorszenia dyrektor szkoły w Cempuis, Robin; tylko między nimi rozstrzyga się tam wybór, więc w każdym razie wyjdzie osobistość splamiona, ale za to radykalna. Słowem, czembardziej się psują stosunki moralne i czem wyraźniej ludność zaczyna lekceważyć parlament, tem częściej, widocznie dla szykany, wybiera do niego akrobatów, kataryniarzy, zamiataczy ulic, albo wprost zasądzonych przestępców. Że na tem najlepiej wychodzi radykalne stronnictwo, albo socyalistyczne, to oczywiście nie jest rzeczą przypadku. Kto jest rządem, lub jego podporą, ten jest obowiązany zawsze i wszędzie walczyć przeciw takim objawom politycznego zdziczenia i nie podnosić wpływu radykalistów. Zatem Brisson właściwie nie powinien być ponownie wybrany. W niedzielę wieczorem, kiedy ogłoszono, że z urny wyborczej wyszedł siedzący w kryminale Gérauld-Richard, tłumy włóczyły się po ulicach, wrzeszcząc: „Niech żyje socyalistyczna republika! Precz z Casimir-Perierem!“. To powinno być wskazówką dla ludzi, dbających o przyszłość swego społeczeństwa, że się powinni złączyć w żelazną falangę ku obronie, ale i naprawie istniejącego ustroju. Takie hasło dano w Paryżu, jednakże nie jest ono skierowane przeciw Brissonowi, bo on podczas krótkiej swej prezydentury okazał się zwolennikiem umiarkowania, socyalistów trzymał ostro, wodza ich Jaure'a zasądził na kilkodniowe wydalenie z izby, w ogóle na stare lata bardzo się zmienił, zostawszy radykalistą jakby tylko z imienia. Stosunki jego z gabinetem były coraz lepsze, a że nie znaleziono żadnego innego kandydata, więc on zapewne będzie wybrany, na dowód, iż oportuniści nie o to dbają, aby wszystkie posady były przez nich zajęte, lecz o pozyskiwanie ludzi dobrej woli ze wszystkich stronnictw.

Piszą nam z Wiednia 7 stycznia:

Pono w tutejszych kołach dworskich z zadowolnieniem przyjęto zapowiedź zwrotu w polityce rosyjskiej, którego symptomatu powszechnie dopatrują się w zamianowaniu hr. Szuwałowa gubernatorem Królestwa. Kiedy swego czasu margr. Wielopolski stanął na czele rządu w Warszawie, w tutejszem ministeryum spraw zagranicznych powstały pewne obawy. Naprzód dlatego, ponieważ na podstawie znanego otwartego listu do ks. Metternicha margrabia uchodził za wyraźnego nieprzyjaciela Austryi, a potem, i to ważniejsze — ponieważ wówczas stosunek Galicyi do tronu i monarchii był całkiem inny, niż dzisiaj. Stosunek ten, oparty, jak to niedawno zaznaczył Cesarz we Lwowie, na wzajemnem zrozumieniu się i zupełnej ufności, wyklucza wszelkie obawy i wszelką zazdrość względem ewentualnej zmiany strasznego ucisku w Królestwie.

Już przed 25 laty w poufnej depeszy do ambasadora austro-węgierskiego w Londynie hr. Apponyiego z 20 czerwca r. 1870 ówczesny kanclerz hr. Beust oświadczył: „Parmi les diverses nationalités répandues dans l'empire Austro-Hongrois, la nationalité polonaise est une de celles dont le dévouement aux intérêts généraux et au maintien de l'Empire nous est le plus sûrement acquis. Sans parler de l'excellent contingent militaire que la Galicie a toujours fourni dans nos guerres, ses représentants dans nos Assemblées délibérantes se sont montrés jaloux de veiller à la grandeur de l'empire. Ce sont eux qui dans la délégation... m'ont le plus fidèlement soutenu par leurs discours et leurs votes“. (Pomiędzy różnymi narodami rozsianymi w monarchii Austro-węgierskiej, naród polski jest jednym z tych, na którego poświęceniu dla spraw ogólnych i dla utrzymania monarchii możemy jak najpewniej budować. Nie mówiąc już o nadzwyczaj dzielnym kontyngencie militarnym, jakiego Galicya dostarczała zawsze w naszych wojnach, jej reprezentanci, zasiadający w naszych ciałach prawodawczych dbali zawsze jak najgoręcej o utrzymanie wielkości monarchii. ...Oni to w delegacyach podtrzymywali mnie jak najwierniej swojemi mowami i swojem głosowaniem). Od owego czasu stosunek przyjazny, a raczej serdeczny pomiędzy Galicyą a tronem i państwem nieustannie się wzmagał i ustalał.

Przed 25 laty zwrot pomyślny, który nastał właśnie za rządów hr. Beusta, był jeszcze rzeczą nową, narażoną z różnych stron na przeszkody. I tak n. p. w roku 1869 car Aleksander II w Warszawie do przysłanego przez dwór tutejszy nadzwyczajnego posła jenerała księcia Thurn-Taxis odezwał się, że bardzo się cieszy, iż Cesarz Franciszek Józef zaniechał (zapowiedzianej na jesień 1868 r.) wycieczki do Galicyi, i dodał, że „nie byłby jej przyjął obojętnie“. Trudno dziś uwierzyć w podobne uwagi cara, ale sam hr. Beust przytacza fakt ten w swych pamiętnikach (tom II, str. 215). Ową zaś depeszę do hr. Apponyiego, z której przytaczamy powyższy ustęp, napisał z powodu ostrzeżeń angielskiego ministra Clarendona, że ustępstwa dla Galicyi mocno zaniepokoiły dwór petersburski. Teraz, gdy Cesarz Franciszek Józef niemal każdego roku odwiedza Galicyę, zawsze witany z powszechnym zapałem, i gdy autonomia, której używamy od lat mniej więcej 28, nie sprowadziła żadnych.... kataklizmów ani austryackich, ani europejskich, owe przedstawienia i ostrzeżenia wyglądają po prostu dziwacznie. Ale też dziś, dzięki swej uczciwej i tak skutecznej polityce, dwór tutejszy może najspokojniej patrzeć na ewentualne, dosyć spóźnione zamiary rządu petersburskiego zmienienia systemu, który nie zdołał dokonać niemożliwej russyfikacyi Polski a Rosyę wykluczał z rzędu państw cywilizowanych!

Powtarzam więc, ewentualna zmiana polityki rosyjskiej względem Polski, tutaj nie napotka na żadną niechęć i nie wywoła żadnych obaw. Rzecz ciekawa, że dyplomaci rosyjscy wobec dygnitarzy rakuskich zawsze jeszcze rozwodzą się nad rzekomo zdrożną działalnością... p r a s y g a l i c y j s k i e j! Pominąwszy fakt, że ta prasa obecnie po największej części składa dowody niepospolitej wstrzemięźliwości, możnaby tym dyplomatom odpowiedzieć, że skoro prasie polskiej w Rosyi nie wolno roztrząsać kwestyi narodowych, prasa galicyjska w tej mierze tworzy bardzo pożyteczny *ventil*. Ale nadto dyplomata austryacki, dokładniej obeznany z stosunkami, mógłby wskazać na systematyczną i namiętną nieprzyjaźń znacznej części prasy rosyjskiej względem Austryi, mianowicie zaś na instygacye cenzury warszawskiej, która za rządów Hurki nie przepuszczała żadnych przyjaznych wzmianek o Austryi, wykreślała nawet tak niewinne zdanie, jak np. to, że hr. Taaffe jest zręcznym mężem stanu, co więcej, wręcz wypowiadała życzenie, aby Austryę wystawiać jako — „zgniłą“. Wobec podobnych faktów, na które mamy dowody, ubolewania dyplomatów nad postawą prasy galicyjskiej wyglądają na obłudę.

Uroczystość Bismarkowska.

W sprawie obchodu tej uroczystości ogłosiła wiedeńska *Montags Revue* następujący artykulik: „Nie tylko w Niemczech, lecz także w wielu miejscowościach Austryi czynią wielkie przygotowania do obchodu przypadającej w roku bieżącym 80-tej rocznicy urodzin Bismarka. Stowarzyszenia i korporacye odbywają zgromadzenia, na których naradzają się nad tem, jakieby gratulacye, adresy lub prezenta przesłać należało, a nawet poruszono myśl zbierania składek na wzniesienie Bismarkowi pomnika w Austryi. Wiele władz miejscowych, nie wiedząc, jak należy się zachować w obec tych agitacyi, udało się po instrukcye do swego najwyższego przełożonego, t. j. do ministra spraw wewnętrznych h. Mówią, że mrgr. Bacquehem postanowił nie stawiać żadnych przeszkód tym uroczystym demonstracyom, gdyż sądzi, że niestosowną byłoby rzeczą występować przeciw obchodowi uroczystości największego męża stanu tego stulecia, a zapytany o radę kolega drugi Bacquehema, p. Plener oświadczył podobno, że przeszkadzanie temu obchodowi byłoby ciosem zabójczym, wymierzonym przeciw niemu, p. Plenerowi. W obec tego uroczystość Bismarkowska będzie miała w Austryi charakter tak samo solenny, jak w Niemczech. Powinien się na to przygotować także prezes gabinetu, który może dotychczas nie wie o tem, jak na tę sprawę zapatruje się minister spraw wewnętrznych“.

Urzędowa *Wiener Abendpost* zaprzeczyła kategorycznie całemu temu doniesieniu, konstatując, że ani żadna władza nigdy nie udawała się do ministra spraw wewnętrznych o instrukcyę w tej sprawie, ani też minister nikomu nigdy instrukcyi nie udzielał, ani p. Plenera nie pytał się o zdanie, ani p. Plener go nie objawiał; że w ogóle to doniesienie we wszystkich szczegółach jest z palca wyssane.

Nasz korespondent wiedeński pisze w tej sprawie co następuje:

„Przypuszczać, że sprawa obchodu 80-tej rocznicy urodzin ks. Bismarka wywołała już konferencye ministrów, tragiczne deklaracye p. Plenera etc., byłoby nonsensem. Że tam niektóre stowarzyszenia niemiecko-narodowe zamierzają uczcić tę rocznicę, nie jest to zaiste fakt politycznej doniosłości. Ogół ludności austryacko-niemieckiej z pewnością nie grzeszy żadnym zapałem dla b. żelaznego kanclerza. Obchód 80-tej rocznicy jego urodzin niewątpliwie wykaże tylko, jak szczupłą jest liczba jego wielbicieli w Austryi. Może właśnie oni życzą sobie ogólnego zakazu obchodu, aby potem mogli udawać, że bez takiego zakazu uroczystość byłaby wypadła wspaniale. Nic zresztą nie zmusza rządu do wydania takiego zakazu. Ks. Bismark był autorem wojny w roku 1866, ale też w r. 1879 zawarł sojusz z Austro-Węgrami. Dlatego nie ma żadnego powodu zabraniać w Austryi obchodu 80-tej rocznicy jego urodzin. Jeżeli opozycya niemiecko-narodowa nie znajdzie i nego pretekstu do zwalczenia teraźniejszego gabinetu i systemu parlamentarnego, to okaże tylko swą zupełną niemoc. Pustelnik warcyński 80-letni, należy stanowczo — do przeszłości. Ani osoba, ani nazwisko jego nie mogą być ani nawet w Niemczech, a tem mniej w Austryi skuteczną dźwignią jakiejkolwiek poważnej, a tem bardziej niebezpiecznej akcyi politycznej“.

---

2)

KTO ON?

(Ciąg dalszy).

Przywitaliśmy się tedy serdecznie. Wprawdzie miss Thompson zrobiła długą minę, ale uważałem, że Wandzia przestała z tem się liczyć.

— Chodźmy do ogrodu braciszku, po staremu, — zawołała, biorąc mnie za rękę; wiesz, jak w Szydłowcu, kiedy jeszcze mama żyła.

I poszliśmy. Nie był to park szydłowiecki, zarosły jak puszcza, pełen kryjówek i cienia, tylko staroświecki, francuski ogród o nisko strzyżonych szpalerach, otwarty i pełen słońca. Ale było nam tam dobrze. Wandzia śmiała się, biegała, bawiła mnie i siebie i w kwadrans umiała mnie tak ośmielić i rozruszać, że czułem się z nią swobodnym jak z kolegą z Kremsmünster. Miałem to uczucie, że jestem jej potrzebny i miły, a dotąd — wiedziałem to dobrze — ani bardzo miłym, ani potrzebnym nie byłem nikomu. Kiedy na uwagę Angielki, że zbyt ze mną jest poufałą, odpowiedziała z rodzajem oburzenia: „But, he is my brother“, czułem, że mówi szczerze i że naprawdę jestem jej bratem. Przytem było w jej stosunku ze mną coś jakby macierzyńskiego, jakaś dziwna troskliwość o mnie, chęć podniesienia mnie we własnych oczach i w cudzych, nieustanne dodawanie mi pewności siebie i odwagi, którą traciłem tak łatwo, nieustanne czuwanie nademną, abym nie popełniał zwykłych mi towarzyskich błędów. Na przejażdżce wiedziałem, że ją będę miał przy sobie, ile razy moja łacińska konna jazda spłata mi figla, w towarzystwie byłem pewny, że jej zręczny i śmiały dowcip ochroni mnie od złośliwego języka kuzynów i wyratuje ze śmieszności, na jaką moja dystrakcya, niezgrabność lub naiwność narażała mnie tak często.

Odtąd cieszyłem się zawsze nadzieją spędzenia z Wandzią kilku dni co wakacyi i dnie te stały mi się najmilszymi w roku. Uważałem ją i ja za siostrę i nie miałem dla niej tajemnic. Pewny byłem, że każda rzecz obchodząca mnie zajmie ją, że każde moje uczucie i wrażenie znajdzie w jej sercu oddźwięk, i że ta ostra, złośliwa, niemiłosierna dla młodzieży panienka, której bali się jak ognia wszyscy moi kuzynkowie, choć po kolei każdy w niej się kochał, dla mnie będzie miała zawsze ciepły, promienny, pełen przywiązania uśmiech siostry.

Nie dziw też, że kiedy w ciągu pewnego roku szkolnego (jeśli się nie mylę, w siódmej klasie) odkryłem naraz w sobie miłość bezgraniczną do złotowłosej i trochę tylko piegowatej Lieschen, siostrzenicy oberżysty z pod Złotego jelenia w Kremsmünster, pospieszyłem wyspowiadać się Wandzi z tej miłości. Wszyscy starsi uczniowie benedyktyńskiego konwiktu, wymykający się na piwo do ustronnej, najlepiej przed profanami ukrytej knajpy za miasteczkiem, kochali się w tej Lieschen. Ja na nią nie zwracałem wcale uwagi, dopóki koledzy nie zaczęli mnie nią prześladować i ona sama nie zrobiła awansów „dem polnischen Grafen“ (miałem najwięcej kieszonkowych pieniędzy ze wszystkich kolegów). Wówczas przejrzałem, przeczytałem w sercu wielkie słowo „miłość“ i powiedziałem sobie: „Ta, albo żadna.“ A ponieważ zdawałem sobie z tego sprawę, że mój stryj będzie cokolwiek odmiennego zdania, horoskop przyszłości rysował się przedemną w tragicznych kształtach wszelkich możliwych zgonów, jakimi od początku świata nieszczęśliwi kochankowie szukali połączenia w śmierci, nie mogąc go znaleść w życiu.

Byłem oczywiście najmocniej przekonany, że w Wandzi znajdę powierniczkę pełną zrozumienia i współczucia. Tymczasem zadziwiła mnie ona znowu, i to bardziej, niż za pierwszym razem. Doszedłem właśnie do kulminacyjnego punktu liryki w mojem opowiadaniu i nie miałem jeszcze czasu zwrócić się ku tragicznym horoskopom (coby po części mogło było usprawiedliwić zachowanie się mojej kuzynki), kiedy naraz Wandzia zerwała się, cała w ogniu, z błyszczącemi oczyma i zaciśniętemi ustami.

— Głupi jesteś i ty i twoja Szwabka — syknęła ze złością. — Trzeba było przy niej pozostać i piwo z nią szynkować.

I naraz, ni ztąd ni zowąd, rozpłakała się i wybiegła z pokoju.

Co to miało znaczyć, nie rozumiem dotąd.

Pogodziliśmy się wprawdzie z Wandzią, choć nie mam pojęcia o tem, co ją rozgniewało; zrozumiałem to jednak, że nie ze wszystkich tajemnic mego serca należy się jej zwierzać; i odtąd nie mówiłem już jej ani o Lieschen, która zresztą tego samego roku wyszła za mąż za ogrodnika klasztornego, ani o czarnej Mariele, która zajęła jej miejsce przy ladzie i w mojem sercu.

Skończyłem wreszcie konwikt, pożegnałem poczciwych profesorów, a zwłaszcza nieocenionego Ojca Willibalda, który mi zaszczepił zamiłowanie do archeologii, i wróciwszy do domu, nie zastałem Wandzi. Oddano ją dla dokończenia edukacyi do klasztoru. Pamiętam, jak dziś, co to było dla mnie za rozczarowanie. Zająłem się jednak czem innem i zapomniałem. Przyszedł czas studyów uniwersyteckich; genialny Lipphardt przykuł mnie do swego archeologicznego rydwanu. Powoli zapomniałem o świecie całym. Nie dziw: zacząłem zbierać materyały do mojej „Bogini Astarte“.

Minęło kilka lat. Przebyłem je przeważnie za granicą. W krótkich odwiedzinach kraju nie spotykałem Wandzi, nie słyszałem nawet o niej. Przychodziła mi jednak na myśl przy pisaniu mego wielkiego, mego pierworodnego dzieła. Jakby ona doskonale umiała słuchać, jakbym z nią mógł swobodnie i gruntownie rozprawiać o wykopaliskach assyryjskich i o strojach Azteków! Chciałem jej nawet o tem pisać, ale za obszerneby to było na list. Dałem pokój. Ona bodaj czy nie pisała do mnie parę razy, ale na pewno nie wiem. Nie pamiętam.

III.

Wróciłem właśnie z dłuższej naukowej wycieczki do Azyi mniejszej i wpadłem do Krakowa na sam początek karnawału, oczywiście nic o tem nie wiedząc. Stryjowi artretyzmy nie dawały się ruszać — nudził się i z nudów uroił sobie, żeby mnie ożenić. Ledwie się przywitałem, zapowiedział mi, że muszę wejść w świat, bywać na rautach i balach, że dość już kwasić się wśród pobitych czerepów i starych szpargałów, że trzeba przestać być dziwolągiem, mumią i mamutem, a zacząć być młodym i tak dalej.

Miałem wielką ochotę zawrócić się, zabrać nierozpakowane jeszcze kufry i uciec na kolej. Ale chowany byłem w tradycyjnem poszanowaniu rodzinnej władzy, a przytem nie ma co obwijać w bawełnę, stanowczość imponuje mi u innych tem bardziej, im mniej sam jej mam w charakterze. Zostałem więc, przeklinając losy i wieczorem zamiast wyjmować z kufra i porządkować zeszyty i notaty archeologiczne, poszedłem na bal do Morskich.

Być nieśmiałym, niezgrabnym, krótkowidzem — i iść z tem na bal, to już dość złego. Iść z przymusu, klnąc i myśląc o rozkosznym wieczorze, jakiby się mogło spędzić w pantoflach, przy kominku, herbacie i Bogini Astarcie — jeszcze gorzej o wiele. Ale nie módz się wśród tej powodzi światła, kwiatów, perfum, brylantów i koronek wcisnąć w jakiś ciemny kącik, być przedmiotem uwagi i uwag większej połowy towarzystwa, wyróżniających grzeczności jednych, a zapewne cichych złośliwości drugich, to już męka nie do zniesienia. Ale cóż — trzeba było ją przebyć. Przez pół godziny ciocie, kuzynki i przyjaciółki nieboszczki mojej matki rzucały mną jak piłką, robiły wiwisekcyę zewnętrznych i wewnętrznych moich przymiotów, powtarzały dysputy o podobieństwie mojem do tych lub innych członków rodziny i robiły niemożliwe pytania i uwagi co do moich podróży, studyów i planów na przyszłość. Wreszcie najgorsza ze wszystkich przyjaciółka babci podkomorzyny, równie ciekawa i gadatliwa jak głucha kanoniczka pochwyciła mnie za rękę i poprowadziła do oranżeryi jak ofiarę, zapowiadając obszerniejszą rozmowę, kiedy naraz jakiś traf szczęśliwy rzucił na nas całą falę gości, płynących z głównego salonu. Fala nas rozdzieliła i spocony, zjajany, ledwie przytomny, znalazłem się w jakimś buduarze.

— Uf, — wyjąknąłem, ocierając chustką czoło. — A to łaźnia.

— Cóż, wymknąłeś się smokowi? — zaśmiał się ktoś za mną.

Obróciłem się i poznałem kuzyna mego, Gucia.

— Strzeż się, aby cię znów nie złapała, mówił dalej, ściskając mi rękę. Od godziny wszystkie mamy i ciocie mówią o tobie. Jesteś przecie najlepszą partyą. Pewnie z dziesięć maryażów kroi się dla ciebie. Ale smok, vulgo ciocia kanoniczka, ta jedna była bezinteresowna. Prezentowali cię księżniczce Matyldzie?

— Być może, nie wiem napewno.

— Ale cóż znowu: nie wiem napewno. O czemże będziesz wiedzieć? Przecież to podobno napięte dla ciebie przez stryja Augusta i księstwo Henryków, chyba że... ale to już od ciebie będzie zależało. Ależ księżniczkę widzieć musiałeś? Ta w srebrnej gazie z niezapominajkami. Uważałeś?

— Nie... nie pamiętam.

— Gadaj-że z nim! Ręczę, że cię prezentowali, aleś ty pewnie myślał wtedy o swoich foliantach. A kuzynkę Wandzię widziałeś?

— Jest tu?

— Czy jest? Od godziny siedzisz na balu, na którym ona jest królową — i pytasz. O simplicitas — a raczej o archeologio! Ledwie przyjechała, pytała się o ciebie. A ty...

— Gdzie jest?

Gucio włożył cwikier i zaczął się rozglądać po sali, podniósłszy portyerę.

— Tam jej nie ma, rzekł powoli i posunąwszy się parę kroków, rzucił okiem na sąsiedni salon. Za chwilę był przy mnie.

— Jest, wyszła do oranżeryi, rzekł. Idź do niej przywitaj się. Byle to tylko nie zaszkodziło projektom księżnej Henrykowej — dodał, śmiejąc się.

Jan Łada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencye.

Wiedeń 6 stycznia.

Nowa wyprawa na biegun północny.

Juliusz Payer, znany malarz wiedeński i słynny uczestnik austryackiej wyprawy na biegun północny z 7 i 8 lat dziesiątka poruszył w tutejszej *Neue Freie Presse* myśl nowej ekspedycyi na północ, której celem byłoby nie tyle zbogacenie geograficznych wiadomości, jak wyzyskanie dla malarstwa czarownej piękności najdalej na północ położonych krajów. Artysta przedstawia wymownie cały urok śnieżnej krainy i zestawia go z fałszywem zupełnie wyobrażeniem ogółu o niej. Kraje podbiegunowe nie są śnieżną białą pustynią pod kopułą mglistego wiecznie stropu. Nic fałszywszego od wyobrażenia, że przyroda tam jest jednostajną, że brak jej barw, przemian i kształtów. Owszem nie ma może kraju z takiem bogactwem cieni i światła, świtów i półmroków, blasków rozszczepiających się na wszystkie kolory widma słonecznego, nie ma kraju z taką różnorodnością obrazów rzeczywistych i majaków (fata morgana), jak właśnie antarktyczne okolice. Każda pora roku ma tam swoje nieopisane piękności. Na wiosnę i jesienią, kiedy tarcza słoneczna leży tuż poniżej widnokręgu, a księżyc nie pokazuje się, cała przyroda tonie jakby w srebrnem świetle, niebo jasno-zielone pełne gwiazd słabo roziskrzonych, sklepi się nad morzem modrem i olbrzymiemi jego lodowcami, rumieniącemi się w promieniach słonecznych, które z poza widnokręgu, nie dotykając ziemi, na ich tylko szczytach się zatrzymują. Śniegu prawie nie ma w porze jesiennej. Długa noc zimowa, okraszona wielkimi łukami świetlnemi na niebie i księżycem, co przez tygodnie całe nie zachodzi, mieni się najczystszem srebrem wody w kanałach i upiorowo czerwoną twarzą miesięczną, tonącą w szarym błękicie. Potem słońce wraca, jedna połowa okolicy, pogrążona w cieniu, ucieka zdaje się przed jawiącem się słońcem ku północy. Wschód i zachód słońca są tak wspaniałe, że majtkowie najrubaszniejsi wpadają w zachwyt przed pięknością jego majestatu. A promienie łamiące się w powietrzu w bezbrzeżnych przestrzeniach okazują przedziwne widoki bardzo odległych okolic: lodowce spiętrzone, pasma gór poszarpane, okręty wywrócone. Słońce samo pojawia się w tych majakach na dni całe, na tygodnie nawet, przed pierwszym swym wschodem, a kiedy wschodzi widzi się je w postaci zdwojonej, poczwórnej nieraz w kształcie puharu wielkiego na niebie, w otoczeniu księżyców i trabantów. Można n. p. widzieć cztery takie trabanty, które mają znowu własne swe księżyce a wszystkie razem krążąc dokoła słońca, łączą się z niem promieniami jasnemi. W powietrzu mgłą i szpilkami z lodu przepełnionem łamie się to światło, jak w pryzmacie.

Temperatura spada coraz niżej i dochodzi do 68 stopni. Słońce jak czerwona kula, zwiększona przez mgły, napełnia zimnym swym żarem powietrze, oddech człowieka kłębi się w mgły dokoła niego i otacza go nieprzenikliwą atmosferą, na tle której gubi się, jak cień przelotny, czasem lód na morzu pęka, cieplejsza woda wybucha słupem białym jakby z artezyjskiej studni i opada olbrzymim łukiem prochu śnieżnego, różowo zabarwionego od słońca.

Pod koniec zimy skrada się naprzeciw wiatru niedźwiedź biały, wygłodzony po śnie długim, szukający łupu i żeru. Milowe odbywa wycieczki, wszędzie go się spotyka nad brzegami. Wreszcie ustają śnieżne zawieje, powietrze jest suche, jak nigdy, wyziewy z morza opadają jako szron na skały, których szczyty przez całe tygodnie lśnią w blaskach różowych i pomarańczowych słońca świecącego nisko nad horyzontem. Temperatura zaczyna się podnosić i dochodzi do 15° wyżej zera, oko widzi blaski ośmiewające tającego lodu, wody ultramarynowej, błękitu przejasnego nieba, lodowców płynących po falach a na wyniosłem swem czole odbijających wszystkie świetlne cuda zorzy północnej. Śnieg znika na lądzie, daleko i szeroko okrywają się niwy dość bujną roślinnością, wielkie płaszczyzny żółtym mleczem i makiem, niebieskiemi niezabudkami, białemi kwiatami cerastium, górskie stoki różami alpejskiemi i miodunkami zachwycają oczy stęsknionego wędrowca. Krajobrazy północne z perspektywą gór niebotycznych w oddali, z morzem pieniącem się w zatokach i niosącem lodowce, należą do najpiękniejszych na ziemi.

Nie łudzi się Payer nadzieją, że uda mu się dotrzeć do bieguna, ale obok odkryć geograficznych, które przynieść może ekspedycya, ma on na oku głównie malowanie przyrody północnej, zdobycie piękności antarktycznych okolic dla sztuki. Trudności wykonania takiego planu są ogromne. O niebezpieczeństwach samej wyprawy nie ma nawet i co mówić. Znane one są dostatecznie. Samo jednak malowanie na mrozie 50-stopniowym w szałasach — jak projektuje Payer — opalanych alkoholem i oświetlanych elektrycznie jest niemal niemożliwem. Możnaby tylko rysować przy takiej temperaturze, gdyż niepodobna utrzymywać wody ciepłej potrzebnej do farb, a oleju niezamarzającego w takiem zimnie nie ma. Przy—35° już musiałby artysta chwytać za pastel.

Mimo to w porach cieplejszych roku możnaby w rzeczy samej nieobliczalne poczynić zdobycze dla sztuki malowania przyrody.

Payer chce, aby osobno w tym celu zbudowano okręt objętości 400 tonn (po 10 centn. metr.) o sile 200 koni, aby służbę okrętową najęto w Dalmacyi i postawiono pod dowództwem trzech dzielnych oficerów, dalej, aby w wycieczce brali udział malarze, technicy, maszyniści, preparatorowie, lekarz, fotograf, strzelcy alpejscy i górale. Hrabia Wilczek popiera gorąco plan i zdaje się, że zebrano już pewne środki na jego przeprowadzenie. Espedycya udałaby się do wschodniej Grenlandyi, znanej dotychczas tylko po 77 stopień północnej szerokości. Każdy krok od tego stopnia na północ byłby zarazem i zbogaceniem wiadomości geograficznych. Wielkość kosztów i niebezpieczeństwa wyprawy dobrze są znane Payerowi, nie chciałby narażać uczestników na pobyt kilkoletni, a tak niebezpieczny w mroźnej północy, dlatego w pierwszym rzędzie życzy sobie tylko mniejszej wyprawy, która ewentualnie w razie pomyślnego obrotu rzeczy, mogłaby szerszy sobie nakreślić zakres.

Chodzi mu głównie o sprostowanie mylnych i niedostatecznych wyobrażeń o przyrodzie podbiegunowej. W rozmowie z jednym z dziennikarzy wiedeńskich wspominał Payer, jak fałszywe o niej pojęcia miał wielki malarz Canon, jak jego samego piękność północy uczyniła artystą-malarzem.

Plan cały obudził nadzwyczajne zajęcie w szerokich kołach artystycznych i jak się zdaje przyjdzie do skutku.

Sprawy sejmowe.

(Nadzór Wydziału krajowego nad reprezentacyami powiatowemi i zwierzchnościami gminnemi).

W ubiegłym roku przeprowadził Wydział krajowy likwidacyę trzynastu Wydziałów powiatowych, a mianowicie w Premyślanach, Dobromilu, Kałuszu, Gródku, Brzesku, Żółkwi, Sanoku, Lisku, Bohorodczanach, Brzozowie, Staremmieście, Limanowie i Rzeszowie. Opierając się na wynikach tych lustracyi, podnosi Wydział krajowy, że są jeszcze zawsze Rady powiatowe, w których rachunkowość i kasowość chroma. Objaw ten zdaniem Wydziału krajowego jest łatwym do zrozumienia. Fundusze bowiem, pozostające pod zarządem reprezentacyi powiatowych, mnożą się i wzrastają z każdym rokiem, jednakże nie wzrosły jeszcze do takiej wysokości, ażeby mogły wystarczyć na utrzymanie fachowych kasyerów, kontrolorów i rachmistrzów. Owóż brak tych fachowych organów, zastąpić muszą przynajmniej na razie peryodyczne lustracye zarządzane przez Wydział krajowy, których rezultatem jest wyrównanie różnic rachunków, założenie nowych ksiąg, jednem słowem uporządkowanie całej rachunkowości i kasowości. Drugim ujemnym objawem w administracyi powiatowej jest w wielu wypadkach brak dostatecznej kontroli nad gospodarką miasteczek i gmin wiejskich. Wprawdzie zaprowadzono instytucyę delegatów powiatowych dla spraw gminnych, wszelako instytucya ta nie dopisała, gdyż bardzo mało osób chce i może poświęcić się tej uciążliwej pracy, a nadto dokonywanie lustracyi gospodarstw gminnych, wymaga specyalnych, fachowych wiadomości. Z tych powodów Wydział krajowy zachęca Wydziały powiatowe do ustanowienia fachowych lustratorów dla wykonywania systematycznej kontroli nad gospodarką gmin.

W jednym z lustrowanych powiatów sprawdzono znaczniejsze ubytki, skutkiem nadużyć funkcyonaryusza kancelaryi Wydziału powiatowego. Funkcyonaryusza owego wydalono, a szkoda jest w zupełności pokryta.

Prócz przeprowadzenia wymienionych wyżej lustracyi udzielił Wydział krajowy pomocy rachunkowej Wydziałom powiatowym w Cieszanowie, Kamionce i Wieliczce. Z miast, podlegających ustawie z 13 marca 1889, zlustrował Wydział krajowy w roku ubiegłym miasta: Jarosław, Nowy Sącz, Wieliczkę, Sokal, Krosno i Białę. Z wielkiem zadowolnieniem podnosi Wydział krajowy, że gospodarka w 30 miastach, podlegających tej ustawie, ulepsza się z każdym rokiem. Oprócz lustracyi interweniował Wydział krajowy z pomyślnym skutkiem w sporze między gminą miasta Żółkwi a przedsiębiorcami budowy tamtejszych koszar dla wojska, tudzież w Jarosławiu w sporze majątkowym między gminą chrześcijańską a izraelicką. Celem rozpatrzenia finansowej gospodarki miasta Krakowa wydelegował Wydział krajowy osobną komisyę, gdyż Sejm, udzielając poręki kraju dla półtoramilionowej pożyczki miasta Krakowa, polecił Wydziałowi czuwać nad jego gospodarką finansową.

Z lustracyi tej okazało się, że obecny stan finansowy Krakowa jest pomyślny i że funduszowi krajowemu nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo z tytułu poręki kraju. Wreszcie przedsięwziął Wydział krajowy lustracyę w następujących pomniejszych miastach i miasteczkach: w Oświęcimiu, Przemyślanach, Lubaczowie, Sieniawie, Strzyżowie, Tłustem, Limanowie, Kossowie, Kutach, Makowie, Starejropie, Starejsoli i Ropczycach.

Co się tyczy gospodarki w miasteczkach zrobił Wydział krajowy to spostrzeżenie, że jest ona zawsze jeszcze niedostateczna zarówno pod względem zarządu majątkiem tych gmin, jak i pod względem wykonywania policyi miejscowej i że potrzeba jeszcze wiele pracy, ażeby doprowadzić do prawidłowej administracyi miasteczek. Przy lustracyi wyszło na jaw wiele nadużyć. Skutkiem tego radę gminną w Lubaczowie rozwiązano i ustanowiono tam komisarza rządowego, w Makowie wdrożono śledztwo karne, w Strzyżowie zaś sprawdzono takie nadużycia, iż Wydział krajowy przedłożył Namiestnictwu wniosek o zastosowanie najsurowszych postanowień ustawy gminnej. Kasyera tamtejszego i sekretarza gminnego uwięziono. Znaczniejsze defraudacye i nieporządki sprawdzono także w Tłustem, Sieniawie i Starejropie. W końcu starał się Wydział krajowy położyć koniec nadużyciom, jakie się działy w zarządzie majątku siedmiu gmin czarnodunajeckich, gdzie już w r. 1890 sprawdzono defraudacyę przeszło na 1.000 zł. Ponieważ nie było najmniejszej nadziei, ażeby te gminy wybrały zarządcę, któryby dawał rękojmię, że nadużycia takie się nie powtórzą, ponieważ nadto Wydział krajowy żadną miarą nie może zezwolić na to, ażeby majątek tych gmin poszedł na marne, zwłaszcza, że główną część tego majątku stanowią lasy o przestrzeni przeszło 6.000 morgów, położone na stoku Tatr, które żadną miarą wyniszczone być nie mogą, przeto Wydział krajowy ustanowił ze swego ramienia zarządcę w osobie wiceprezesa nowotarskiej rady powiatowej, Andrzeja Glosser-Kałuskiego i oddał mu zarząd majątku tych gmin.

MAŁY FELJETON.

O winie, piwie i likierach.

Było to w wagonie I klasy pociągu Orient-Express między Wiedniem a Paryżem. Jechało nas kilku i rozmawialiśmy o winach z powodu, że to, które nam do obiadu podano w wagonie restauracyjnym było bardzo niedobrem.

— Nie chwalcie tylko panowie — rzekłem — win francuskich. Jeśli znośne, to są szalenie drogie, a jeśli tańsze to okropne. Dotąd czuję w ustach smak tego witryolu, co to w Paryżu „petit-bleu“ się nazywa.

— A szampańskie! — wtrącił oburzony Francuz. — Wino win, nasza chwała!

— Fałszowane z końca w koniec świata.

— Uprzedzenie!

Alem się zaciął i powiedziałem mu wręcz, że „prawdziwego“ szampańskiego wina nie kosztowałem jeszcze nigdy w życiu, nawet w samem Reims'ie.

Francuz spoważniał tak, jak gdybym się był zwierzył przed nim z chronicznego a nieuleczalnego cierpienia.

— Zaszczytem będzie dla mnie, — rzekł — jeśli mi pan zechce wyświadczyć jedną łaskę.

— Ależ i owszem.

— Brat mój ma w Szampanii winnicę; niedużą winnicę, ale, śmiem twierdzić, wzorową. Przysłał mi, dni temu kilka, tuzin butelek szampańskiego swojego wina. Za autentyczność ręczę. Szczęśliwy będę, jeśli mi pan pozwoli poczęstować siebie kieliszkiem.

Obraziłbym uprzejmego Francuza nieprzyjmując zaproszenia.

Przybywszy do Paryża, odwiedziłem więc go w dniu umówionym. Po kilku słowach powitania podano szampan.

Stanęła przed nami spora butelka bez etykiety żadnej, zakorkowana silnie i prostym mocnym sznurkiem owiązana. Wino popłynęło w szklanki: musujące bardzo nieznacznie, lekkie, o silnym aromacie, przypominającym zapach włoskiego „Asti spumante“. Oczywiście wino świeże — ale smaczne, rzeźwiące i niezwykłe istotnie.

Takim to zbiegiem okoliczności zapoznałem się raz jedyny w życiu z rodowitem szampańskiem winem, prosto ze źródła.

Trzeba było na to trafu, bo myliłby się, ktoby sądził, że trunek wszelki najwyższe posiada zalety, czerpany bezpośrednio ze źródła. Jako typowy dowód posłuży nam angielski porter („Stout“), który nigdzie tak złym nie jest jak w Anglii. Porter, aby pożądane mógł mieć własności, potrzebuje koniecznie przejażdżki przez morze. To też lepszym on jest na kontynencie, niż na wyspie. Ani słowa, że ze stout'em dobrym można spotkać się w Anglii, ale to wyjątek, który odbył obowiązkową peregrynacyę tam i z powrotem przez morze. Że atoli nie wszystek porteer spijany w Anglii odbywa takie morskie wyprawy, przeto poi Anglię firma Bass i Ska istną lurą.

Ma natomiast Anglia — „ale“, piwo podawane tam zazwyczaj nie w butelkach, jak u nas, lecz w cynowych dzbankach litrami i półlitrami i z tem piwem angielskiem, mocnem bardzo, iść nie może w porównanie żadne inne piwo na świecie. Nawet „pilzneńskie“, aczkolwiek pite „u źródła“ w Pilznie, z czopów tak zwanego „Mieszczańskiego browaru“ ma smak przedni, szczypiący i świeżość przedziwną, nieznaną tym, co „pilznera“ sączą z butelek eksportowanych.

Ile gwiazd na niebie, tyle browarów w Monachium, a każdy z nich szczyci się tem, że „najlepsze“ wyrabia piwo. Jak się z tem rzecz ma, wyrokować mogą chyba stali i namiętni konsumenci i amatorowie monachijskiego piwa. Dla dorywczego badacza ma ono prawie jeden smak wspólny wyrobom wszystkich firm tamtejszych. Wyjątek naturalnie stanowi tylko „Salvator“. Ale — konia z rzędem, kto, zamknąwszy oczy, potrafi odróżnić „Löwenbräu“ od „Spatenbräu“, „Franciskanerbräu“ od „Pschorbräu“, „Augustinerbräu“ od „Hackerbräu“ i t. d.

Właściwie mówiąc różnica między niemi chyba ta, że o innej godzinie otwierają w Monachium beczki z Pschor'em, a o innej ze Spatenem i że „Löwenbräu“ wyprodukowuje rocznie 250.000 hektolitrów, podczas gdy „Augustinerbräu“ zaledwie (!) 105.000, a „Hackerbräu“ nieborak 73.897 (według sprawozdania z r. 1892). Zawsze to piwo jest ciężkie, esencyonalne, gęstawe i ciemne w kolorze, a słodkawe w smaku. Prym pod względem tych właściwości trzyma „Pschorbräu“.

Nie zapominajmy nadto, że Bawarya jest ojczyzną piwa, kulmbachskiego, mającego się do innych piw, jak ciężkie i ciemne burgundzkie do lekkich i jasnych win reńskich, oraz białych z pod Bordeaux.

Jest w Heidelbergu knajpa w czysto niemieckim stylu, przy głównej ulicy, przecinającej wzdłuż miasto całe; nazwa jej „Perkeo“ od słynnego karła, strzegącego w zamkowych podziemiach niemniej słynnej heidelberskiej beczki. Kto chce przyjrzeć się klasycznemu piciu piwa w Niemczech, niech tam wstąpi w wieczornych godzinach.

Co się tam działo, co działo, kiedym pięknego wieczoru, wróciwszy z teatru w pobliskiem Mannheimie, zasiadł u któregoś z gościnnych stołów w „Perkeo!“ Miało się już ku północy; w godzinę jakoś potem zaczęło się opróżniać i kompania kilkunastu osób, sąsiadująca ze mną, dźwignęła się ociężale od wypróżnionych kuflów — ku wyjściu.

W tem, nagle, gdzieś w głębi lokalu za kontuarowym szlabanem rozległ się — syczący, skrzeczący świst przeraźliwy.

Wypadek, bomba, katastrofa! Nie wcale. To sygnał — sygnał, że gospodarz lokalu, biorąc pod uwagę animusz swoich gości postanowił zrobić im niespodziankę i o tak późnej godzinie świeżą beczkę piwa — odbija.

Zrozumiejmy się. Odbić beczkę? — wielka mi rzecz. Odbić, bagatela — ale trzeba ją wypić. Albowiem beczka raz odbita, musi być stante pede wypita, bo inaczej wywietrzeje i zmarnuje się. Tedy dowód to niemałego zaufania i nieograniczonej wiary w pijackie zamiary gości, jeśli gospodarz o pierwszej po północy, zatem na godzinę przed zamknięciem knajpy, decyduje się na podobny ryzykowny poczęstunek.

No i cóż? Ilu było wychodzących, ilu było panów już w paltoty przyodzianych, ile było dam stojących już w przedpokojowym korytarzu, tylu — wróciło przed stoły i jęło w kufle dzwonić. Publiczność głośnemi okrzykami powitała beczkowy sygnał, pan gospodarz surdut zrzucił, rękawy zakasał, pierwsza piana formalnie zakłębiła się wszędzie, służba rozleciała się na wsze strony i — i wypito beczkę do dna.

Hen, z góry, z pól Elizejskich, patrzał na to duch śp. Gambrinusa i radował się. Bo, mówiąc nawiasem — ów „Gambrinus“ żadną nie jest mityczną postacią; to, o skażonem przez kilkusetletnie używanie imieniu przezacny książę Brabancki, Jan Primus, rodzony w roku 1251. a zabity w turnieju przez Piotra Beaufremont.

Wracając zaś do „źródeł“, niech mi wolno będzie wspomnieć źródło ojczyste wina reńskiego, zwanego „Liebfrauenmilch“. Ach, to źródło! Zdawałoby się, że to — morze, tak po całym bożym świecie ów „Liebfrauenmilch“ znany jest i pity. W pierwszem, wykwintniejszem nieco miasteczku powiatowem, dostać można wina z tą marką za cenę od 1·50 do 3 zł. Tymczasem zaś całe to źródło, nigdy nie wyczerpane, stanowi pięć do sześciu morgów winnicy, przylegającej do kościoła Najśw. Maryi Panny (Unsere Liebe Frau) w Wormacyi nad Renem. Stąd nazwa. I nigdzie, jak świat długi i szeroki, nie rosną takie winogrona, z którychby dało się wycisnąć kroplę prawdziwego „Liebfrauenmilch“. Jaka może być wydajność sześciomorgowej winnicy? Obliczać nie trzeba, aby pojąć, że milionowa cząstka tak zw. „Liebfrauenmilch'u“ nie wypływa z najbliższego otoczenia wormackiego kościoła. Nadto zaś winnica, o której mowa, jest własnością proboszcza przy kościele Naj. Maryi Panny i od lat dziesięciu z górą proboszcz wszystko wino, z winnicy jedynej w świecie pochodzące, więzi we własnej piwnicy i chyba w drodze nadzwyczajnej łaski buteleczynę jedną lub drugą udziela swoim znajomym lub ciężko chorym. Pomimo najszczerszych zabiegów, nie udało mi się z łaski tej skorzystać.

Już to wogóle rozmnażanie się win „nadzwyczajnych“ w sposób iście nadzwyczajny wspólnem jest wszystkim krajom i narodom. Wiadomo przecież, że wina z nad Dunaju, bułgarskie, ciężkie, gęste jak krew, wędrują do Francyi i wracają stamtąd należycie „spreparowane“ pod nazwą rozmaitych win burgundzkich. Tę samą drogę, tylko via Bordeaux, przebywają lżejsze wina austryackie. Butelka prawdziwego St. Julien albo Ermitage'u tu we Francyi *rara avis*, a cena jej najmniej 10, 15 do 20 franków. Wszystko zaś prawie to, co idzie na wszechświatowe rynki zbytu pod szumnemi nazwami Clos-Vougeot, Chambertin, Pommard, Beaune, Nuits, Volnay, Château-Margot, Château-Lafitte, Ermitage i t. p., to albo wyrób niemiecki, hiszpański, rosyjski — stosownie do miejscowości, w której się wino nabywa, albo — w najlepszym razie — fabrykat zręcznych francuskich „firm“, nawet najpoważniejszych, zmuszonych wprost do rozmnażania *ad infinitum* produktu własnych winnic.

W Francyi uda się czasem wypić dobrego wina szklankę za względnie niską cenę, ale — na głębokiej prowincyi. Tak np. oddałbym pierwszeństwo przed wielu słynnemi winami francuskiemi, doskonałemu „Jurançon“, temu *vin brutal*, jak się o niem wyrażają Francuzi, ale trunkowi wyśmienitemu, zwłaszcza przy południowej kuchni tłustej i korzennej. Wino to rozpowszechnione pod samemi już Pirenejami w dawnym Bearnie. Zaś w granicach dawnej Francyi płynie w Alzacyi „Turkheimer“, ostre, ogniste reńskie wino, mające jedynego chyba rywala w winie badeńskiem „Markgräfler.“ Ów „Markgräfler“ do reńskich czystej krwi win należy i pod względem, by się tak wyrazić, „esencyonalności“ prym między niemi trzyma. Nadużywać go tylko nie należy. Kto wypić chce wiele, niech poprzestanie na lekkiem „Moselwein“ z nad dopływu Renu, a w towarzystwie dam niech każe podać musujące wino z nad Moselli; sztuczny to wytwór, ale gdy dobry, mało które szampańskie wino równać się z nim może.

Naturalne musujące wino to włoskie „Asti.“ Nie konserwuje się długo, zawsze mętnawe, o silnym dość aromacie, lekkie, orzeźwiające i słodkawe. Ojczyzną jego są okolice między Turynem a Alessandryą. Komu jednak słodycz i aromat „Asti“ nie przypadną do smaku, niech zwróci się do podweneckiego „Conegliano“, a francuskim szampanom, ręczę, da we Włoszech za wygranę.

Dobre wina w ogóle mają Włochy. Oto przedewszystkiem toskańskie „Chianti“. Któż, co raz do Włoch zajrzał, nie zna tych okrągłych, o ciasnej, wysokiej szyjce butelek, plecionką osnutych? Wino to najbardziej we Włoszech rozpowszechnione, o przeróżnych cenach. Oto „Valpolicello“, z okolic Werony, czerwone, tanie, uchodzące za jedno z najlepszych, podobne nieco do Vöslauer'a lecz bardziej aromatyczne. Oto mocne zawsze „Capri“ białe i czerwone, wino ostre. Oto „Barolo“ włoskie burgundzkie, ciężkie, wyborne. Oto „Falerno“ (najlepsza marka neapolitańska!) z oryginalnym zapachem i smakiem, mocne, ogniste o najczystszej barwie „garance“ (kolor czerwono-brunatno-żółty, pewnej części umundurowania armii francuskiej); butelka litrowa nie mniej 5ciu lirów. Jeżeli to potomek starorzymskiego „falerna“ pojąć nie sposób, jak go pić można było pół na pół z wodą.

> Toż gdy się nim chciał raczyć, napełniał puharek
> I takowy wlewając w stągiew wody czystej,
> Jeszcze miał napój myszką trącący, ognisty...

opowiada Odysseusz. Miły Boże, puharek wina w całej stągwi wody! A dopieroż puharek — falerna! Istny aptekarski dekokt. Szczęściem, że moda takiego psucia wina dawno minęła.

Z czasów barbaryi starożytnej został francuski zwyczaj pijania przeróżnych wódek zmięszanych z wodą. Podniebienie wzdryga się na to. Ów absynt, ukochany absynt, przepuszczany przez kawałek cukru do kufelka zamrożonej wody to — wstręt nad wstręty. Kieliszek wódki lub likieru w szklance wody — oto przecie co w chwili obecnej pochłania beczkami całemi Francya. I chwali się tem jeszcze!

Ale to prawda, przecie i Holandya chwali się narodowym trunkiem swoim, którym jest „schiedam“, a „schiedam“ ów, to ani mniej ani więcej tylko prosta, najprostsza nasza siwucha ze wszelkiemi jej właściwościami. Przełknąć kieliszka nie sposób. Należałoby to pić na sposób francuski: kieliszek „schiedam'u“ w... beczce wody.

Już to w ogóle ze wszystkich wódek (nie wciągając w rachubę koniaków), prym trzyma chyba „gin“ angielski, z jałowców pędzony, podobnie jak wśród likierów naczelne miejsce zajmuje bez konkurencyi — „chartreuse'a“. O „chartreusie“ zbytecznem byłoby każde słowo, tak znana powszechnie, dodam więc tylko w nawiasie, że butelka „zielonej“ kosztuje na miejscu, to jest w samym klasztorze Kartuzów (Grande chartreuse pod Grenoblą) 6 franków, butelka litrowa „żółtej“ 4 franki, a takaż butelka „białej“ najsłabszej i najmniej rozpowszechnionej 2 franki. A u nas?

Na koniec słów parę o najpospolitszych u nas winach austryackich i węgierskich, o których tom cały dałby się napisać. Są to zresztą wina, którym aż dziw, że wina włoskie, dzięki dogodnym traktatom handlowym, tak silną dziś robią konkurencyę. „Vöslauer Goldeck“ najdroższe ale najlepsze chyba; „Vöslauer“, zwłaszcza „Vöslauer Blume“ idące przeważnie na eksport przez Hamburg, najlepsze właśnie w... Hamburgu; „Erlauer“ czerwone węgierskie, najlepsze z tańszych gatunków; „Chateau-Palugyay“, wysoki gatunek czerwonego węgierskiego, bez żadnej cierpkości; „Ofner“, mocne o nieczystym kolorze, złe w tańszych gatunkach; tyrolskie: „Leitacher“ i cierpki bardzo „Terlaner“, „Mailberger“ lekkie, bez aromatu, przypominające wina reńskie; „Gumpoldskirchner“, mocniejsze, o złotawej barwie, nieco cierpkie; „Vöslauer Riesling“ najlepsze ze wszystkich białych, lekkie, jasne, smakiem zbliżone do Sauterne'u... któż wszystkie zliczy.

O! — urywam. Wśród sypiących się dziś zewsząd „wrażeń“ wyda się ta notatka ulotna nic nie mająca wspólnego z świętami? Niech zostanie — jako osobliwość. Przez pryzmat jej gdy czytelnik na Europę spojrzeć raczy, wyda mu się, że kraje i ludy, poniechawszy trosk i zatargów, zaciągnęły się w olbrzymie korowody objeżdżającego świat Bachusa i intonują zgodnym chórem:

> Bibit ille, bibit illa,
> Bibit servus cum ancilla,
> Bibit abbas cum priore,
> Bibit aeger cum doctore...

Tak jednak nie jest, jak wszem wobec i każdemu z osobna dostatecznie wiadomo. Ale jak łaciński aforyzm powiada: *tres sunt causae bibendi: adventus amici, bonum vinum et quaelibet alia causa*, tak też sto i jedna może być przyczyna, dla której, raz w rok, zgada się o — winie i piciu.

Jeśli gawęda zbyt przeciągnęła się długo, niech mnie obfitość — niewyczerpanego bynajmniej do dna — materyału usprawiedliwi.

KRONIKA.

Lwów 9 stycznia.

Sankcyę monarszą otrzymał uchwalony przez obie Izby Rady państwa projekt ustawy o używaniu mających być emitowanemi przez galicyjski Bank krajowy obligacyi kolejowych do lokowania kapitałów fundacyjnych, pupilarnych itp.

Odznaczenie ks. arcybiskupa Kozłowskiego. Car nadał metropolicie rz. kat. w Rosyi ks. Kozłowskiemu z okazyi jego jubileuszu, krzyż ozdobiony brylantami, do noszenia na piersiach.

Obywatelstwo honorowe nadała Rada miasta Mielca p. Józefowi Dziobic kierownikowi tamecznej 5-klasowej szkoły, w uznaniu jego skutecznej pracy w zawodzie nauczycielskim.

Nowe starostwa. Przed kilku dniami powtórzyliśmy za urzędową *Gazetą lwowską* notatkę, donoszącą o tem, iż rząd zamierza utworzyć kilka nowych starostw w Styryi, krajach alpejskich i wschodniej Galicyi. Wiadomość o tym zamiarze rządu okazała się fałszywą, gdyż wczoraj ta sama *Gazeta lwowska* sprostowała podaną w swych łamach notatkę i nazwała ją zmyśloną.

Ze sfer notaryalnych. Notaryusz w Łące p. Kazimierz Madeyski przeniesiony do Medenic.

Polowanie. Dnia 3 i 4 bm. odbyło się polowanie w rewirze Postołówka, należącym do ordynacyi chorostkowskiej JE. hr. Wilhelma Siemieńskiego-Lewickiego. Z powodu silnej zamieci śnieżnej rezultat polowania nie był tak świetny jak się spodziewano, ubito bowiem w 11 strzelb tylko 128 zajęcy, 6 lisów i 14 rogaczy.

Konkursa. W obrębie lwowskiej dyrekcyi lasów i dóbr skarbowych jest do obsadzenia posada leśniczego z roczną płacą 400 zł. i 25 prc. dodatkiem aktywalnym. Podania do 30 stycznia. — Sąd powiatowy w Mostach wielkich poszukuje dwóch dyetaryuszy.

Tajny ukaz warszawskiej żandarmeryi, wystosowany do urzędu celnego w Kaliszu, publikuje berliński *Vorwärts*. Ukaz ten mówi, że wedle doniesień ajentów rosyjskich w Krakowie, polityczne (?) stowarzyszenia „Sokół“, „Kółka Mickiewicza“, „Kółka Goszczyńskiego“ i „Kółka powstańców“ wydały i wysłać się starają do Warszawy mnóstwo podburzających pism ulotnych i wzywających do powstania (?) dla odbudowania Polski. Te polskie „stowarzyszenia anarchistyczne“ po śmierci cara Aleksandra III nabrały — według słów ukazu — ogromnych nadziei i będą próbowały swoje pisma ulotne przemycać do Warszawy przez rozmaite miejscowości graniczne jak: Michałowice, Baran, Gniazdów, Szczakowa itd. Ukaz więc zwraca na to uwagę urzędów celnych i nakazuje zabieranie tych pism. *Vorwärts* zapowiada, że wkrótce opublikuje inne tajne ukazy rosyjskie.

W Czytelni katolickiej (Kopernika l. 5) odbędzie się dnia 10 bm (we czwartek) pogadanka prof. dra Bronisława Dembińskiego n. t. „Tołstoj o miłości ojczyzny“.

Telegraf. W Obertynie powiecie horodeńskim otwartą została stacya telegrafu.

Skuteczny sposób przekonania się o niesumienności utrzymujących bufety na stacyach kolejowych w Niemczech, wynalazł jeden z deputowanych zajmujący się specyalnie tępieniem falsyfikatów spożywczych wszelkiego rodzaju. Pan ten, jadąc z Frankfurta do Berlina, na każdej stacyi wysiadał i kupował butersznity, których jednak nie zjadał, lecz zawijał starannie w papier, na którym kreślił nazwę stacyi. W ten sposób, dojechawszy do Berlina, miał 23 butersznitów w kieszeni. Po przybyciu do stolicy, deputowany oddał 23 butersznitów do laboratoryum chemicznego, gdzie przekonano się, iż 17 nasmarowanych było margaryną, zamiast masłem.

Znaczną kradzież popełniano systematycznie na szkodę lwowskiego kupca p. Jana Baczyńskiego przy ulicy Akademickiej l. 3. P. Baczyński od dawna już widział, że mu giną rozmaite towary, ale mimo najskrzętniejszych poszukiwań nie mógł odkryć złodzieja. Dopiero wczoraj zupełnie przypadkowo wpadnięto na jego trop. Jest nim Jan Szeliga, stróż tej kamienicy, w której sklep się znajduje. Okradał on systematycznie sklep w nocy, a skradzione przedmioty chował w piwnicy, w której wczoraj po przeprowadzeniu rewizyi znaleziono nagromadzone przez złodzieja zapasy wartości przeszło 1000 zł. Były tam wina, koniaki, sery, delikatesy, worki kawy i t. d. Szeliga przyznał się do wszystkiego.

Z wyborów marszałka w powiecie kolbuszowskim. Donoszą nam z tego powiatu co następuje: Dnia 31 grudnia z. r. przystąpiła kolbuszowska rada powiatowa, po dłuższem osieroceniu krzesła marszałkowskiego, do wyboru swego przewodnika. Z urny wyborczej wyszedł dr. Jan Seraszyc Hupka, właściciel dóbr Niwiska, dziedzic nietylko bogatych włości, ale i najzacniejszych staropolskich tradycyi odziedziczonych po przodkach swych, od półtora już wieku w Niwiskach osiadłych, człowiek jakkolwiek jeszcze młody, powszechnie jednak w powiecie szanowany i ceniony dla przymiotów umysłu i serca, który w ciągu pięcioletniej pracy w wydziale rady powiatowej odznaczał się zawsze gorliwością i sumiennem wypełnianiem obywatelskich obowiązków. Rzecz szczególna, że jakkolwiek poprzedni marszałek ś. p. Zdzisław hr. Tyszkiewicz, mąż dla powiatu zasłużony, zalecał go kilkakrotnie na swego następcę, starsi członkowie rady starali się go przedewszystkiem nie dopuścić do krzesła marszałkowskiego, a gdy najusilniejsze ich starania się nie powiodły, wystąpili z rady, dążąc do jej rozbicia i do wywołania nowych ogólnych wyborów. Mamy nadzieję, że usiłowania te pozostaną bez skutku i że wyższe władze zarządzą proste uzupełnienie wyborów w miejsce tych, którzy z rady wystąpili i ochronią tym sposobem ludność powiatu od niebezpiecznej gorączki agitacyjnej, zaś piekące, a od wielu miesięcy nietknięte sprawy powiatu od dalszej, niestety tak bardzo szkodliwej zwłoki. *Bł*

Wydalenie korespondenta. Z granic królestwa włoskiego wydalono w tych dniach korespondenta pism francuskich niejakiego d'Harcourta. Wydalenie nastąpiło dlatego, że d'Harcourt oddawał się szpiegostwu politycznemu na rzecz ambasady francuskiej. Papiery, które przy nim znaleziono, wskazują podobno, że świeża kampania przeciw Crispiemu była podsycana przez Francyę i to tak wprost z Paryża jak przez ambasadę francuską w Rzymie.

Degradacya Dreyfussa. Z Paryża donoszą: W sobotę o godzinie 9 zrana odbyła się tutaj na placu szkoły wojskowej degradacya kapitana Dreyfusa. Od wczesnego już ranka tłumy ciekawych otoczyły plac dokoła, na dachach domów sąsiednich mnóstwo również widzów. Na placu ustawiło się w czworoboku wojsko (około 3.000 piechoty i artyleryi) pod wodzą generała Darrasa. Czas jakiś panuje na placu w szeregach uroczysta cisza. Wówczas rozlega się głos komendy: „Prezentuj broń!“ W głębi ukazuje się Dreyfus w otoczeniu czterech artylerzystów, lejtnanta gwardyi miejskiej i podoficera. Gdy wszedł w środek czworoboku i stanął przed generałem, zabrzmiały trąby i warknęły bębny. Pisarz sądowy czyta wyrok, którego Dreyfus wysłuchał w milczeniu. Generał Darras woła wzruszonym głosem: „Alfredzie Dreyfusie, nie godzien jesteś nosić broni! W imieniu prezydenta republiki degradujemy ciebie!“ Dreyfus woła: „Jestem niewinny, przysięgam, jestem niewinny! Niech żyje Francya!“ Tłumy odpowiadają strasznym krzykiem: „à mort!“ Po chwili uspokaja się wszystko na widok adjutanta, który zbliża się do Dreyfusa i zdziera mu z munduru sznury, epolety, guziki i wszystkie oznaki uniformu, oraz odrywa czerwone pasy ze spodni. Następnie adjutant wyciąga Dreyfusowi szablę z pochwy i łamie ją na kolanie. W chwili tej panuje taka cisza, że wszyscy słyszą chrzęst stali.

Po odpięciu pasa od szabli i rzuceniu go na bruk, Dreyfus pewnym, bez śladu wzruszenia głosem woła znowu: „Jestem niewinny! Niech żyje Francya!“ I znowu tłumy odpowiadają mu: „à mort!“ Teraz zaczyna się oprowadzanie Dreyfusa po czworoboku. Podczas tej defilady krzyczy on znowu na cały głos: „Jestem niewinny! Niech żyje Francya!“ Tłumy wołają: „Śmierć zdrajcy!“ Przechodząc około miejsca przeznaczonego dla prasy, woła: „Powiedźcie całej Francyi, że jestem niewinny!“ Z grona oficerów rezerwy wyrywa się głos: „Podły! Judasz!“ Z tłumu dochodzi wciąż zmieszany okrzyk: „à mort!“ Eskorcie swej Dreyfus stara się wytłomaczyć, że wydał nic nie znaczące akta, aby wymienić je na ważniejsze dokumenty; przyszłość okaże, że jest niewinnym, w ciągu trzech lat będzie zrehabilitowany itd. Po ukończeniu defilady wzdłuż szeregu, zakładają żandarmi Dreyfusowi kajdany na ręce i wsadzają do wozu więziennego, który ma przewieźć go do więzienia w Lasants. Cała ta scena trwała 11 minut. Dreyfus, opuszczając swój plac hańby w podartem odzieniu, nie stracił ani na chwilę rezonu: wielu widzów zaś drżało formalnie pod wpływem wzruszenia i przejmującego chłodu.

Bożkom na ofiarę. O fakcie zamordowania człowieka w ofierze bożkom pogańskim przez chłopów rosyjskich donoszą rosyjskie dzienniki. Fakt zdarzył się w maju 1892 roku w gubernii kazańskiej we wsi Stary Multan. Chłopi tamtejsi, doprowadzeni do rozpaczy głodem, tyfusem i grożącą cholerą, zwątpili o Bogu chrześcijańskim a przypomnieli sobie swego starożytnego bożka Korbana. Pewien znachor wiejski oznajmił im, że Korban domaga się ofiary z człowieka. We wsi żył biedny chłop, pochodzący z sąsiedniego powiatu, nieposiadający ani krewnych, ani przyjaciół. Jego upatrzono na ofiarę. Dnia 4 maja 1892 r. zawleczono go do kancelaryi gminnej, rozebrano do naga, zawieszono u stropu za nogi, poczem zebrani „starsi“ gminni w liczbie piętnastu zaczęli kłuć biedaka nożami w gołe ciało. Krew, płynącą z ran, zebrano starannie w naczynia, ugotowano, poczem ją obecni na cześć bożka zjedli, a tymczasem ofiara skonała wskutek utraty krwi; następnie wypruto jej płuca i serce i również zjedzono, wreszcie ucięto głowę, a trupa wyrzucono na ulicę. W spełnieniu tej ofiary brali udział naczelnik gminy, policyant gminy i starszy prowizor cerkiewny. Ponieważ uczestnicy nie kryli się wcale ze swoim [illegible]m, dlatego wyśledzono ich wkrótce i uwięziono. [illegible]ledztwo trwało przeszło półtora roku, a proces [illegible]ył się dopiero w tych dniach. Z jedenastu oskar[illegible]nych zasądzono sześciu na długoletnią katorgę, [illegible]zech uwolniono, a jednemu (90letniemu starcowi) zmieniono katorgę na dożywotnie osiedlenie na Syberyi.

Ankieta w sprawie małżeństwa. Jedno z pism wiedeńskich rozesłało pytania: jak uważać należy instytucyę małżeństwa? Oto najlepsze odpowiedzi jakie otrzymało:

Pani Adam, redaktorka *La Nouvelle Revue* pisze: „Dowiedziałam się wielu tajemnic, przeżyłam wiele przygód i byłam powiernicą wielu osób; zawsze wszakże i we wszystkich krajach widziałam szczęście jedynie w małżeństwie“. Baronowa Marya v. Ebner-Eschenbach, znana autorka wiedeńska, pisze: „Kobieta, która nie umie wywierać wpływu na swego męża jest gąską. Kobieta, która na męża wpływać nie chce, — świętą“. „Zawrzeć małżeństwo z rozsądku znaczy wysilić cały swój rozsądek na to, by popełnić największe głupstwo“. „O ile ziemia może być niebem, o tyle niem jest w szczęśliwem małżeństwie“. — Wicehrabina de Peyronney, znana pod pseudonimem „Etincelle“, literatka paryska, odpowiada: „Małżeństwo wydaje się młodej dziewczynie uroczystością, najpiękniejszą uroczystością w świecie, na którą wkracza przez wspaniałą bramę tryumfalną, strojna w białą suknię i w dziewiczy wianek, otoczona wesoło uśmiechniętym orszakiem weselnym, złożonym z przyjaciół, mając serce przepełnione zwycięską miłością. Dla niej małżeństwo jest pierwszym krokiem na drodze uciech, hołdów i zabaw. Dla niego, dla mężczyzny, to krok ostatni na drodze do domowego ogniska, przy którem wypoczywa i do fotelu, w którym drzemie. Dla niej wszystko jest nieznane i ona chce wszystko wiedzieć; on wie wszystko i — chce zapomnieć... Istnieje skromna i nieoceniona cnota, która może dać spokój i najjednostajniejsze dni owiać urokiem: tą cnotą jest dobroć. Zrobiła ona dla szczęścia ludzkości więcej, niż wszyscy uczeni, wszyscy wynalazcy i kaznodzieje. Trochę dobroci z oby stron, a małżeństwo będzie w gruncie jedyną możliwą drogą do odbycia naszej uciążliwej podróży po ziemi. Jest ono też tem, czem je nazwał pewien dowcipniś: „J'aime le mariage parce que c'est la seule manière respectable de manquer de respect à une femme“ (Lubię małżeństwo, bo jest to jedyny przyzwoity sposób uchybiania kobiecie). Małżeństwo posiada, jak wszystkie potęgi, swoich oszczerców i entuzyastycznych wielbicieli; niestety także i swoich męczenników! Najprostsza prawda, jaką o małżeństwie powiedzieć można, to, że jest ono społeczną koniecznością i że bez niego rozwiązłe obyczaje ludzkości doprowadziłyby do wykolejenia, którego niebezpieczeństwa są nieobliczone“. — Amalia Joachim, znana śpiewaczka, pisze: „O małżeństwie rozmyślało już i wyrażało swoje zdanie tysiące mądrzejszych głów, niż moja. Sądzę, — a wiele ciężkich godzin wzmocniło we mnie to mniemanie, — że to małżeństwo jedynie jest w przybliżeniu doskonałem, w którem każda strona usiłuje nie być szczęśliwą, ale uszczęśliwiać. Wraz z zaparciem się własnego ja, wzrasta miłość do tego, dla którego się żyje i nad którym się ma pieczę. Samolubstwo, zazwyczaj silny bodziec do wielkich czynów, jest niszczycielem każdego, choćby wśród najszczęśliwszych warunków zawartego małżeństwa“.

Z mnóstwa innych odpowiedzi zacytujemy jeszcze trzy następujące:

„Uważam małżeństwo za największą, najwznioślejszą instytucyę na ziemi, — a wszelkie nieporozumienia dadzą się załagodzić, jeżeli tylko jedno z małżonków jest w istocie z gruntu dobre!

Róża Sucher Drezno“.

„Po smutnych doświadczeniach, jakie zrobiłam w małżeństwie, mówię: Pójść za mąż jest dobrze, nie pójść, — lepiej! *Anna Schramm. Berlin.*“

„Zdaje mi się, że małżeństwo jest pewną drogą do nieba. Szczęśliwi małżonkowie znajdą niebo już na ziemi — w teraźniejszości. Nieszczęśliwi pozyskają sobie niebo na przyszłość — i oszczędzają sobie czyściec, bo Pan Bóg jest sprawiedliwy i odlicza małżeństwo. *Marya Schwarz. Wiedeń*“.

Z Kijowa donoszą: „Sensacyjnym wypadkiem ostatniej chwili jest zniknięcie naczelnika kijowskiego biura adresowego, p. G. Ribasa, który — jak dzienniki tamtejsze piszą — zdefraudował dość znaczną, bo 20 tys. rs. sięgającą, sumę. Delegaci „dumy“ i władza policyjna prowadzą obecnie rewizyę ksiąg biura — kasy rewidować nie potrzeba, ani grosza w niej bowiem nie znaleziono... *Kijews. Słowo* zaznacza, iż wypadek w biurze adresowem wywołał postanowienie dokonania rewizyi i w innych instytucyach miejskich. Takie postanowienie — jak mówi dziennik — miało wywołać popłoch — i w jednem z biur pewien sekretarz już się z góry przyznał podobno do sprzeniewierzenia na sumę dwóch tysięcy rubli...“

Śmierć w wagonie. W nocy na 2 bm. między stacyami Werona i Ala we Włoszech zmarła nagle śp. Józefa z Niementowskich Pruszkowska, obywatelka ziemska z gub. grodzieńskiej. Pruszkowska powracała od chorej córki, bawiącej w San Remo. Zachodzi podejrzenie, czy śmierci nie spowodowała jakaś zbrodnicza ręka, albowiem przy denatce nie znaleziono pieniędzy i kosztowności. Syn zmarłej wyjechał do Ala.

Deputacya nauczycieli stryjskich. W tych dniach przybywa do Sejmu deputacya nauczycieli stryjskich w sprawie poparcia petycyi swej o zrównanie ich pod względem płacy z miastami sąsiedniemi: Drohobyczem i Samborem. Członkowie deputacyi użalają się, że nauczycielstwo stryjskie, mimo corocznego ponawiania swych próśb od kilku lat, dotychczas nic nie uzyskało i żądają, aby Sejm naprawił pomyłkę, jaka przy uchwaleniu ustawy szkolnej w roku 1889 przez cofnięcie Stryja z klasy II do III i przez pominięcie go w podwyższeniu płac nauczycielskich popełnioną została. Stryj pod względem ludności i stosunków drożyźnianych przewyższa o wiele Sambor i Drohobycz, mimo to jednak ma płace o 100 złr. mniejsze. Jest to przecież wielką krzywdą i rażącą niesprawiedliwością, tłómaczą nauczyciele stryjscy, ażeby miejscowość, licząca się do większych miast i posiadająca sąd kolegialny, wiele fabryk, wojsko, znaczny handel, ogromny ruch kolejowy, dalej, będąca miejscem klimatycznem i kąpielowem — co wszystko wywołuje wielką drożyznę — była znacznie niżej postawioną pod względem płacy od Drohobycza i Sambora i zrównaną z miasteczkami Limanową, Żółkwią, Krosnem i t. p.

Współcześni i poezya. Prezes Akademii, Stanisław Tarnowski, w jednej z ostatnich swych krytyk literackich pisze między innemi co następuje:

„Jako wstęp, położony jest na czele wiersz do poezyi, w którą młody artysta wmawia, że „straciła swoją moc, że ludzie odpychają ją od swoich progów,“ że „z mowy bogów stała się mową paryasów“ — i pociesza ją tem, że „jej całe życie składa w dani“. Przeciw tej pociesze i ofietnicy nie mamy nic; ale w obronie prawdy musimy przypomnieć, że to mniemane poniżanie poezyi jest urojeniem, a nasz zepsuty, spodlony czas czci ją, tę cześć jej okazuje, czyta ją i wielbi, więcej może, niż niejedna miniona epoka. W każdym kraju z osobna, w całej Europie, jak jest? Kiedy był Szekspir i Dante więcej podziwiany i lepiej rozumiany? Kiedy miłość tragików greckich taka żywa i oświecona? Kiedy teatra wystawiały arcydzieła w sposób równie godny ich wielkości? Czy Niemcy ostygły w zapale dla Schillera i Göthego? Kiedy nastawiano poetom tyle posągów i tak ich objaśniono i podniesiono krytycznemi dziełami? Ale może to tylko dla dawnych taka cześć, a poniewierka dla nowszych lub żyjących? Nie. Wiktor Hugo ma pogrzeb gorsząco świetny, bo taki, jakiby dla zwycięzcy i zbawcy Francyi wystarczył; Tennyson uwieńczony jest i laurową koroną i lordowskim kornetem, a zaprawdę nagroda może być większa od zasługi; Carducci, kiedy się tylko odezwie, klaszczą mu całe Włochy od Alp do Tarentu, znowu więcej niż warto.

A u nas? Czy Mickiewicz albo Słowacki może się skarżyć na obojętność tego skarłowaciałego pokolenia, które o nich tak wiele, (a po części) tak dobrze napisało? A jeżeli o skromniejszych chodzi, to sam niedawny pogrzeb autora „Lirenki“ dowodzi nie obojętności, tylko owszem czułości dla poetów i poezyi. Nie, tego nie ma. Nie jest prawdą, żeby „poezya była niczem dla ludzkości, żeby miała rękę bezwładną i serce chore“; takie ręce i takie serca mogą mieć tylko niektórzy poeci. I nie poezya, jako taka, tylko *ich* poezya „przestała być gwiazdą przewodnią i wodzów pochodnią“ — a raczej nigdy nią nie była i być nie może. Mowa bogów nie stała się mową paryasów, tylko *niektóre paryasy* gadają mową bogów — tak, jak gadają czasem papugi mową ludzi, a ta przecież nie staje się mową papug. Zapewne, mowa bogów wolałaby, żeby nią trochę mniej mówiono; ale na to biedna poradzić nie może i musi znosić. A że ludzkość woli Goethego i Schillera niż Heinego, Szekspira niż Tennysona, Dantego niż Carducciego, że my wolimy Mickiewicza i Krasińskiego, niż poetów dzisiejszych, to prawda. Ale na to także rady nie ma — i tak być powinno.“

Zmarli. Dr. Julian Kopczyński, właściciel dóbr, były prezes rady pow. w Zbarażu, umarł w Roznoszyńcach. — Tadeusz Lachman, długoletni rządzca dóbr w Mikulińcach, umarł w 85 roku życia. — Ludwik Gałecki, emer. poborca podatkowy w Tarnowie, umarł w 80 roku życia. — Eleonora Rybakiewiczowa, żona radzcy sądu krajowego, umarła w Krakowie.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 2° R. w poł. — 1° R. Bar. 756. Nieruchomy. Pochmurno.

Obciążająca okoliczność.

Matka: Co ja widzę, Wandziu? Piszesz list miłosny i to jeszcze do jakiegoś mężczyzny!

Teatr. Dziś we środę „Guzik“ i „Śluby panieńskie“. We czwartek „Zemsta bogini“ i „Małżeństwo na próbę“. W piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę „Wybory do rady miejskiej“

Rozmaitości.

— **Z tajemnic sztuki magicznej.** Minęły już czasy szczerego podziwu dla „magików“, których nasi ojcowie i dziadkowie, z podziwieniem, otaczali formalną aureolą cudowności. Do dziś jeszcze krążą legendy o sztukach dokonywanych przez Boska lub u nas przez Pinettiego, o którym się utrzymuje tradycya, że chcąc wystraszyć chłopów z karczmy, w której zatrzymał się dla noclegu, poodkręcał sobie ręce, nogi i głowę. Nie trzeba dodawać, że byli ludzie, którzy istotnie temu wierzyli. Dziś sztuka prestidigitatorska ma zwolenników najgorętszych w dzieciach, a dla starszych ma znaczenie płochej zabawki, pożądanej, jeśli chodzi o rozerwanie umysłu czemś niespodzianem, przeczącem pozornie prawom natury. W każdym razie zbadać psychologicznie przyczyny i cały proces złudzenia przy sztukach prestidigitatorskich, wytłómaczyć jak to nawet bardzo bystro obserwujący ludzie dadzą się uwieść, przedstawia ciekawe zadanie, nawet dla bardzo poważnych uczonych. Podjął je p. Binet i pracę swą wydrukował w najpoważniejszym z miesięczników francuskich, w opiętym aż pod szyję swą akademicką powagą *Revue des deux mondes*.

Złudzenia, jakich doznajemy, przyglądając się sztukom magicznym, dadzą się podzielić na czynne i bierne. Pierwsze my w sobie sami z całą świadomością i dowolnie wywołujemy, drugie powstają mimo naszej woli pod wpływem prestidigitatora. Widz przedewszystkiem c h c e doznać przyjemnego złudzenia, bo przyszedł po to, aby się niem przyjemnie zabawić i to jest wielką pomocą dla sztukmistrza, który znów ze swej strony ma do rozporządzenia suggestyę jaką wywiera na widzów, sposoby odwrócenia ich uwagi, umiejętność fizyonomiczną wybierania sobie do „sztuk“ tych z publiczności, którzy najmniej sceptycznie go obserwują, dyskrecyę wrodzoną każdemu, która widzowi, choćby coś odkrył z tajemnicy magika, każe to zachować na razie przynajmniej dla siebie, wreszcie zręczność swoją, systematycznie wyrabianą. Ta zręczność jest ciągle jeszcze główną podstawą sztuki prestidigitatorskiej. Zupełnie błędnem jest mniemanie, że wielką pomocą dla magika są rękawy. Wchodzą one w grę w bardzo niewielu sztukach, jak n. p. przy znikaniu klatki z żywym ptakiem z rąk magika. Wtedy za pomocą stosownego urządzenia klatka rozpada się w jednej chwileczce na drobne kawałki i znika za rękawami. Zresztą n. p. Bosco dokonywał sztuk z zupełnie obnażonemi ramionami. Najważniejsze z narzędzi magika, rękę, musi on miesiącami, a nawet latami wyrabiać i to przed lustrem, dopóki sam nie będzie spostrzegał przebiegu sztuczki. Musi się nauczyć przedmioty trzymać w otwartej ręce, chociaż palcami porusza. Musi doprowadzić do tej doskonałości, by trzymać coś ostatnim członeczkiem palców, którymi na pozór swobodnie porusza przed widzem. Dobry prestidigitator dłonią samą trzyma pięć wielkich monet, równocześnie poruszając ramionami; gestykuluje i pilnie tasuje karty. Ruchom ręki dopomaga słowo i spojrzenie. Odwrócić uwagę widzów od tego, co się dzieje, znaczy tyle, co ująć im siły zmysłów. Jeżeli się chce coś zrobić ręką lewą, wystarcza zwolna i całkiem naturalnie zwrócić oczy na prawo, a z pewnością wszyscy tam spojrzą i w ten sposób zyskuje „magik“ chwilkę w której dokona eskamotażu lub czegoś podobnego.

„Jeden ze znanych magików, dla rozpraszania uwagi widzów, uznaje za wyborny środek kilka słów niespodzianych, zdumiewających widzów. Naprzykład robiąc jakąś sztuczkę karcianą, w której potrzeba mu zobaczyć jednę z kart, kiedy wszystkich oczy zwrócone są na niego. Zbliża się więc nagle do jednego z panów siedzących w pierwszym rzędzie i zapytuje: „Czy pan umie liczyć do sześćdziesięciu?“ Zapytany nie wie, co odpowiedzieć; inni patrzą na niego z uśmiechem, a magik zyskał chwilkę nieuwagi u widzów i rzucił okiem na kartę.

Do osłabienia ogólnej uwagi najlepszym środkiem jest wykonywanie sztuk z oślepiającą szybkością. Binet z kilku pilnymi obserwatorami przyglądał się sztuczkom pewnego magika zupełnie z bliska i naturalnie tyle widział, co gdyby się był znajdował o sto kroków. Ale kiedy sztukmistrz umyślnie dla nich to samo pomaleńku wykonał, aż się zdziwili, że mogli tego nie spostrzedz. Najprostsze środki są najlepszymi. Zrobiwszy jakąś sztuczkę z żywym ptakiem, magik oddaje go służącemu, a kiedy ten już wyszedł za drzwi, magik niby to się namyślił i każe mu podać ptaka; tymczasem zamiast żywego służący przynosi mu nieżywego, który całkiem naturalnie uciec nie może przy jakiejś bardzo cudownej sztuce. Podczas doświadczeń magik oprze się czasem o coś ręką, przypadkowo niby położy ją po za jakiś przedmiot; nam się to wydaje naturalnem, a on tymczasem coś wziął w rękę lub położył.

Ciekawego studyum dokonał Binet przy pomocy zegarowego przyrządu fotograficznego, przed którym kilku znakomitych magików popisywało się. Aparat dokonywał w przeciągu sekundy z ich ruchów 30 fotografii tak dokładnych, jak gdyby do każdej magik osobno pozował, a cała „cudowna“ wrzekomo wolta stawała się zupełnie zrozumiałą dla widza. Magik, którego Binet fotografował, kiedy robił sztuczkę jakąś z kartami, sam był najbardziej zdziwiony, widząc owe fotografie, bo robiąc woltę nie zdawał sobie dokładnie sprawy, jak jej dokonuje. Podczas dokonywania sztuczki ręka wolna ustawiała się jak parasol pomiędzy kartami a publicznością, co trwało wszystko razem jedną setną część minuty, widzowie zatem nie zwrócili uwagi na tę cząstkę tak szybkiego ruchu; ale najciekawsze, że magik sam dowiedział się o tem z fotografii. P. Binet zdjął podobnież bardzo ciekawą fotografię ze sztuczki ze zniknięciem jaja. Widzi się dokładnie, jak prawa ręka zbliża się do lewej, wykonuje ruch jak gdyby przekładała do niej jajo, lecz się nie ma najmniejszego złudzenia, jakoby się to istotnie działo i jajo zostaje w prawej ręce.

Fotografia niszczy złudzenie sztuk magicznych, bo odbiera im trzy główne ku temu warunki, a więc przedewszystkiem szybkość w wykonaniu, objaśnienia słowne magika i możność osłabienia lub odwrócenia uwagi widzów.

— **Agitacya wyborcza w Ameryce.** Wybory u nas a wybory w Stanach Zjednoczonych, to dwie rzeczy tak niepodobne do siebie, jak niebo i ziemia, a raczej jak partya szachów i przedstawienie teatralne z baletem. Przedewszystkiem odmienną jest agitacya, która każdym wyborom nadaje charakterystyczny wygląd. U nas agitator, chcący wpłynąć na opinię wyborców, szturmuje do nich najczęściej — od strony żołądka, raczy więc chłopów wódką i kiełbasą. Ale taki sobie farmer amerykański, który najadłszy się do syta mięsa bawolego i opiwszy dżinu przybył na wybory do miasta, nie dba o kiełbasę i wódkę, bo ich ma podostatkiem, on wolałby się zabawić dobrze a za darmo. Znają dobrze swoich współobywateli agitatorzy wyborczy w Stanach Zjednoczonych t. zw. *campaigncranks*, ich więc forsa polega na efektach teatralnych, na śpiewach, pochodach, niespodziewanych zwrotach, które działają na wyobraźnię. Weźmy n. p. jednego z najcharakterystyczniejszych z owych *campaign cranks* niejakiego Freda Mc Coya, handlarza świń i wołów w Renssellear stanu Indiana. Otóż wybierając się na agitacyjną podróż po swoim okręgu wyborczym, Mc Coy wyrusza z całym chórem śpiewackim, specyalnie ku temu zaangażowanym, na ogromnym, jaskrawo pomalowanym wozie, na którym dawniej użyczał porady lekarskiej jakiś „Patent-Medicin-Man“, jeden z tych niezliczonych szarlatanów, którzy uwijają się po Stanach Zjednoczonych. Przybywszy do upatrzonej miejscowości Mc Coy zatrzymuje się ze swym taborem na placu i aby zwrócić na siebie uwagę każe śpiewać chórowi. Kiedy się już dokoła zbierze spora gromadka, wtedy Mc Coy przemawia tak mniej więcej: „Przyjaciele bracia i współrepublikanie! Wiecie, że za rządów administracyi Benjamina Harrisona były dobre czasy, ale wiecie także, iż odkąd ster objął Grover Cleveland, nastały stosunki pod psem. Jeżeli nie chcecie, abyście chodzili bez butów, to głosujcie na listę republikańską. A teraz chór zaśpiewa, ja zaś zbiorę myśli“. Po wykonaniu jednego „kawałka“ przez chór, Mc Coy zabiera znowu głos i mówi: „Wiecie, że fabryki w Hammond i Kokomo i Logansport i w Peru są zamknięte. Jeżeli tam ludzie nie pracują, nie mają pieniędzy, aby kupować mięso, jeśli nie kupują mięsa, jak ja mam od was skupywać woły i świnie? Teraz chór zaśpiewa, a ja zbiorę myśli“. I tak powtarza się, aż Mc Coy nie może już wcale zebrać myśli, a wtedy wędruje z chórem do innej miejscowości.

Ale agitatorom wchodzą w drogę agitatorzy przeciwnych partyi i ludzie odmiennych przekonań. U nas starają się zbić jego wywody, wykazać wyborcom, że to, co on zaleca nie przedstawia żadnych korzyści. Amerykański agitator nie dopuszcza przeciwnika do głosu, „z miejsca“ ośmiesza go, nazwie go głupcem, a kiedy ubawi tem słuchaczy — zakończy wszystko koncertem. Przypatrzmy się np. znowu Mc Coyowi w takiej chwili. Raz mu przerwał mowę jeden ze słuchaczy. Mc Coy zwrócił się ku niemu i rzekł: „Możesz mnie pytać o co chcesz, ale powiedz mi, czy jesteś republikaninem?“ „Nie.“ „A możeś ty demokrata?“ „Nie.“ „No to czem jesteś do dyabła?“ „Jestem populista“. „Głupcem jesteś“ zawołał Mc Coy „a teraz chór zaśpiewa.“

Podobnież nie robią sobie Yankesi skrupułu ze zgromadzeniami wyborczemi, z tą tylko różnicą, że jeżeli przeciwnicy nie są znacznie słabsi, przychodzi do strzelaniny z rewolwerów. Mc. Coy jednak woli „artystyczne“ środki.

Pewien populista z Conty White wyzwał Mc Coya na dysputę publiczną, którą on bez wahania przyjął. Specyalnym pociągiem pojechał z 300 przyjaciółmi i muzykantami na miejsce, mówił półtorej godziny, a kiedy z kolei populista chciał zabrać głos, przyjaciele i muzykanci Mc Coya rozpoczęli koncert, a przeciwnicy, znajdujący się w mniejszości nic na to nie mogli poradzić. Zgromadzenie się rozeszło. a Mc Coy z towarzyszami oddalili się, dumni ze zwycięstwa, hałasując i grożąc.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 7 stycznia.

(Z.) Akcye kredytowe podskoczyły dziś znów o 5 zł. na 410·75. Zdaje się, że prędzej, niż się tego można spodziewać, dosięgną one przepowiadanego przez fanatyków zwyżkowych kursu 425. Giełda bowiem znajduje się teraz w takiem stadyum. że chyba jakaś nadzwyczajna katastrofa polityczna mogłaby przerwać panujący obecnie szał zwyżkowy, że jednak na katastrofę taką się nie zanosi, przeto zapewne długo jeszcze będziemy świadkami tego bezprzykładnego ruchu, który może doprowadzić do bardzo smutnych następstw. Dążność giełdy naszej jest aż nadto widoczna, chce ona po prostu zmusić rząd do emisyi 3½%, a może nawet 3%wych walorów i w dalszej konsekwencyi do konwersyi renty wspólnej. To też wszystkie kategorye rent drożeją z każdym dniem, austryacka koronna dochodzi już kursu 100½, węgierska przekroczyła 99, a równocześnie tych kilka gatunków trzyprocentowych papierów, jakie mamy, stało się obecnie przedmiotem ogromnej spekulacyi zwyżkowej. Dość powiedzieć, że 3%owe pryorytety kolei południowej podskoczyły dziś w cenie o 3 zł. Haussa dzisiejsza obejmowała prawie wszystkie walory bankowe, tudzież targ papierów lokacyjnych, podczas gdy targ papierów przemysłowych był stosunkowo bardzo zaniedbany.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 410·75, węgierskie 498·50, Anglobanki 183·—, Uniony 315·50, Bankvereiny 157·—, Länderbanki 280·60. Ludwiki 217·25, Czerniowieckie 295·—, Elbathale 274·—, Renta papierowa 100·60, srebrna 100·55, austryacka złota 125·25, 4% austr. renta wal. kor. 100·35, węgierska złota 123·90. 4% węgierska renta wal. kor. 99·05, dukat 5·81, 20-frankówka 9·87½, marki 12·14, ruble 1·33¼.

Wiedeń 7 stycznia. Spirytus 15·80—15·90.

§ **Przegląd targu zbożowego** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 9 stycznia.

Pszenica więcej poszukiwana, reszta produktów bez pobytu. Usposobienie co do spirytusu słabsze, ceny nieco obniżyły się.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·15 do 6·50, żyto gotowe 5·— do 5·15, owies obroczny gotowy 5·— do 5·50, jęczmień browarniany 4·75 do 5·25, jęczmień pastewny 4·— do 4·25, rzepak 8·— do 9.—, lnianka 6·— do 7·—, siemię konopne —·— do —·—, anyż 26·— do 28·—, groch pastewny 0·— do 0·—, groch jadalny 4·— do 8·—, wyka 4·50 do 5·—, bobik 4·25 do 4·50, hreczka 7·— do 7·50, kukurudza stara 6·— do 6·25, kukurudza nowa 5.50 do 5·75, chmiel za 56 kilo 30·— do 55, koniczyna czerwona 50·— do 65·—, koniczyna biała 60·— do 100·—, koniczyna szwedzka 40·— do 60·—, tymotka 25 — do 30·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei 13·50 do 13·75, spirytus na termina 13·25 do 13·75·

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 8 stycznia.

Z powodu stagnacyi, trwającej w handlu zbożowym w Królestwie Polskiem, zaczynają obecnie oprócz jęczmienia dowozić ztamtąd pszenicę, którą młyny tutejsze po niskich cenach kupują, a wskutek tego pokup na pszenicę krajową zmniejszył się. W tym stanie rzeczy na dzisiejszym targu odbyt na pszenicę w stosunku do zaofiarowania był bardzo słaby, a ceny bez względu na to, że na placach zagranicznych właśnie wczoraj zapanowała znacznie stalsza tendencya, z trudnością zdołały się utrzymać. Zaofiarowanie żyta było mniejsze, dlatego mianowicie celne gatunki nieźle się w cenie trzymają. Jęczmień dość poszukiwany po cenach niezmienionych. W owsie obroty małe po dotychczasowych cenach.

Płacono pszenicę białą 7·10 do 7·35, czerwoną 7·— do 7·25. żółtą 7·— do 7·20, żyto 5·50 do 5·80, jęczmień browarny 6·20 do 6·75, na paszę 5·— do 5·20, owies 5·35 do 5·75 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 50 do 70 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4381 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 622 sztuk opasowych i — z paszy. Nie sprzedano 115 sztuk.

Płacono: galicyjskie 52 do 65·— zł., węgierskie 54 -67·50 zł., z innych krajów koronnych 54 do 68·00 zł., krowy 22·00 do 31 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 26·— do 70 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu“.

Berno 9 stycznia. Sejm morawski jednogłośnie polecił Wydziałowi krajowemu na najbliższej sesyi przedłożyć wnioski w sprawie uczczenia jubileuszu 50-letnich rządów Cesarza.

Celowiec 9 stycznia. W sejmie karynckim postawił Wydział krajowy wniosek, ażeby jubileusz 50-letniego panowania Cesarza uczczono przez utworzenie fundacyi dla kalek, mającej nosić po wieczne czasy imię fundacyi Franciszka Józefa.

Lublana 9 stycznia. W sejmie kraińskim postawił słoweński poseł Tawcar wniosek o otwarcie dyskusyi nad projektowaną reformą ordynacyi wyborczej dla Rady państwa, przyczem żądał zaprowadzenia powszechnego, bezpośredniego prawa wyborczego przynajmniej dla gmin wiejskich, miast i miasteczek i zastrzegał się, aby nie łączono w jednej kuryi robotników z nierobotnikami.

Tuluza 9 stycznia. W całej okolicy tutejszej panują niebywałe mrozy i wichry. Termometr spadł na 27 stopni C. poniżej zera. Wiele osób zamarzło.

Peszt 9 stycznia. Wczoraj po południu odbyła się w pałacu prezesa gabinetu konferencya, w której wzięli udział hr. Khuen-Hedervary, wielu członków byłego gabinetu i kilku wybitnych członków stronnictwa liberalnego. Jak się zdaje, przesilenie jeszcze nie jest zakończone, a sytuacya w niczem się nie zmieniła.

Paryż 9 stycznia. Izba deputowanych wybrała swym prezydentem Brissona 272 głosami na 310 głosujących.

Paryż 9 stycznia. Ambasador włoski Ressmann odwołany ze swej posady, odjechał wczoraj wieczorem do Rzymu.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

we Lwowie — ulica Trzeciego Maja, 3.

Przyjechali dnia 8 stycznia. M. hr. Rey z Przecławia. A. hr. Romer z Krakowa. S. Jędrzejowicz z Jasionki. J. Krynicki z Tarnopola. Dr. M. Maramorosz z Kołomyi. J. Kotkowski z Stryja. E. Klemensiewicz z Grybowa. Ks. F. Majewski z Maryampola. B. Horodyski z Wasylkowiec. W. Fassel z Prosnitz. L. Russmann ze Lwowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 8 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 414·75, węgierskie kredyty 502·—, anglobank 185.75, bankverein 160.25, unionbank 316.25, landerbank 283·—, staatsbahny 401.75, lombardy 106.—, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 232·50, rima 275·75, alpiny 98.75, renta majowa 100.60, węg. renta złota 123.90, austr. renta koronna 100.20, losy tureckie 73.30, węg. renta koronna 99·—, marki 60.82, ruble 133.50.

Wiedeń 9 stycznia (godz. 11 w południe) Kredyty 414.25, kred. węg. —.—, Anglobanki 182.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 282.50, Akcye tyton. 232.—, Staatsbahny 401.—, Lomb. (z kup.) 105.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.75, Losy tureckie —·—.

7)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— O co wam poszło? — pytał Marlowe, podając jej chustkę umaczaną w strumieniu. — Niechno ja tego gałgana dostanę jeszcze raz w swoje ręce, to mu odejdzie na zawsze ochota dręczyć cię i to jeszcze w tak nieludzki sposób.

— Poszło... o pana — odparła biedna dziewczyna, zwracając na niego wzrok pełen łez, na widok których Andrzejowi serce uderzyło dziwnem uczuciem bólu i rozkoszy zarazem. — Drogi panie, błagam cię, unikaj go, bo może cię spotkać nieszczęście. To zły, gwałtowny człowiek. On nie cofnie się przed żadną ostatecznością. Strzeż się go.

— O mnie mu chodziło? — zapytał młodzieniec zmienionym głosem. — Ale cóż ja mu zawiniłem? Cóż wspólnego może on mieć ze mną? Droga Renato... drogie dziecko... — tu dłoń drżącą i zgorączkowaną położył na jej ramieniu — przecież on ciebie prześladuje... Ty bezbronną jesteś wobec niego.

— Panie! — westchnęła bardzo cicho — och! panie.

I nagłe łkanie wstrząsnęło jej piersią, a łzy strumieniem puściły się z oczu.

— Biedna Renato! biedna ty moja ptaszyno! — użalał się nad nią Marlowe, sam poruszony do głębi. — Uspokój się, błagam. Jestem dość silny, potrafię obronić ciebie i siebie zarazem.

— O! ja się o siebie nie boję, ale drżę o ciebie, panie — odparła dziewczyna! — On tak strasznie zazdrosny! — dodała cichym, przerażonym szeptem. — On nie ma do tego prawa... Nigdy nie ośmielałam go... nigdy nie chciałam słuchać jego miłosnych wyznań.

Tu nowy wybuch spazmatycznego łkania przerwał jej mowę.

— Ale dlaczego płaczesz, moja śliczna? — pytał Andrzej, osuwając się obok niej na trawę.

Renata milczała, drżąc od stóp do głowy rozkosznym jakimś dreszczem, który udzielał się i jemu także. A promienie słońca grały dokoła nich w zieleni liści i wielkie, jakieś trwożne milczenie, wśród którego słychać było tylko przyspieszone uderzenia serc, padło na tych dwoje młodych. W końcu Renata podniosła się zwolna, nie mówiąc słowa, ujęła oburącz splątane pasma bujnych, czarnych włosów i zaczęła je sobie okręcać dokoła głowy. Andrzej próbował jej dopomódz, ale harda dziewczcyna wyrwała mu warkocz z rąk i z nagłym błyskiem obrażonej dumy obróciła się ku niemu, pytając go wyniośle, jak śmie dotykać jej włosów?

Naraz w zaroślach odezwało się ciężkie stąpanie i Michał Kéronac stanął przed nimi.

— Co to ma znaczyć, panie malarzu? — zapytał, marszcząc krzaczaste brwi.

— To, że trafiłem na chwilę, kiedy pewien człowiek bił waszą córkę i znęcał się nad nią — odpowiedział Anglik. — Odpędziłem go, ot i wszystko.

— Tym człowiekiem był Hoël Calloc — dokończył stary Kéronac. — A za co ją bił, to wiadoma rzecz. Nie jesteśmy przecież ślepi i widzimy, co się święci. Hoël poślubi moją córkę, panie malarzu, wiedz o tem...

— Ale to czysty rozbójnik! — porwał się Andrzej oburzony. — Targał ją niemiłosiernie za włosy i bił po twarzy. Toż przypatrzcie jej się... cała krwią zbroczona!

— Zasłużyła na to — ponuro zawyrokował ojciec. — Hoël dobry chłopak, trzeźwy, oszczędny, pracowity. I grosz ma w kalecie. Renata wyjdzie za niego. Musi się to raz skończyć...

Renata zapłoniła się ze wstydu, a wyzywający błysk strzelił z jej ciemnych oczu; związała włosy, pozbierała swoje rzeczy i hardo zacąwszy usta, ruszyła ku domowi z dumnie podniesioną głową.

Stary Kéronac szedł w pewnym odstępie za córką nie spuszczając jej z oczu. Towarzyszył mu Andrzej milczący posępnie i oburzony do żywego. Wszystkie tętna grały w nim rozstrojone, a twarz jego mieniła się od gniewu i pogardy.

— To Calloc wywiercił dziury w czółnie, chcąc pana utopić — mówił Michał Kéronac, na co Andrzej nie odrzekł ani słowa. — Musi się to raz skończyć... słyszysz, panie malarzu? Musi się skończyć — dodał gniewnie. — Tak dalej być nie może.

Andrzej nie słuchał starego, który żałował w duszy, że przyjdzie mu pozbyć się tak dobrego i popłatnego lokatora, aby ocalić dobre imię córki. Chciwy starzec w myśli obliczał straty, jakie przez to poniesie, a Marlowe, nie zwracając zgoła uwagi na niego, szedł milczący i zamyślony głęboko, goniąc oczyma wyniosłą postać Renaty, która zwykłym, swobodnym krokiem szła słoneczną ścieżką nie oglądając się za siebie.

Myśl jego była rozgorączkowaną, w oczach paliły się blaski nowo zbudzonych namiętności, wszystkie pulsa uderzały zdwojonem tętnem. Silna i pięknie zbudowana postać Renaty przybierała w jego wyobraźni bohaterskie rozmiary; wydawała mu się ona uosobieniem ludowego typu o zdrowem ciele i trzeźwym umyśle. Cała poezya i szlachetność tej pierwotnej, bretońskiej rasy, jej prostota przesiąkła niejako tchnieniem wichrów północy i ożywczym aromatem ziół leśnych, czystość dziewicza ich pojęć, krzepkość ducha zahartowanego w ciężkiej pracy i ciągłem zaparciu siebie, wierność w przywiązaniu i uczciwość obyczajów skupiły się w tej pięknej chłopskiej dziewczynie, która odwagą swoją i nieugiętą wolą imponowała zniewieściałemu ulubieńcowi salonów londyńskich. Całe wieki wytrwałości, uciemiężenia i cierpliwego poddania się losowi wyglądały z głębi tych ciemno-szafirowych źrenic dziewczęcia, na ustach którego kwitły wiosenne róże. I Andrzej czuł, że ta piękna, prześladowana za niego istota, kocha go ze wszystkich sił serca.

— Czy pan zamierzasz ożenić się z moją córką? — zapytał go znienacka stary Kéronac, gdy stanęli w progu zrujnowanego zamku, a Renata zniknęła w głębi mrocznej sieni.

On drgnął wyrwany z zadumy.

— Ożenić się z nią! — powtórzył, wpatrując się w oczy chytremu starcowi.

Wzrok Kéronaca natarczywie naglił do odpowiedzi.

— Bóg jeden wie — odparł Andrzej gorączkowo. — Nie miałem względem niej złych zamiarów. Muszę oddalić się stąd. Muszę... — powtórzył blady jak trup, z wielkiemi kroplami potu występującemi na czoło, zataczając się jak pijany do izby, w głębi której matka Zuzanna przędząc przy kołowrotku, śpiewała:

Śpiesz się matko! Uściel łoże — łoże moje śmiertelne,
Włóż mi szatki moje białe — szatki moje niedzielne,
We włosy moje zapleć kwiaty, blade kielichy lilii...

Nagle przerwała w pół zwrotki i spojrzawszy na zmienioną do niepoznania twarz młodego Anglika, krzyknęła przestraszona:

— Ratujcie Święci Pańscy! toż on chory! Nabawił się złośliwej febry... i nie dziwota! Całą noc o głodzie, na takiej wilgoci... Zdrowszegoby to z nóg zwaliło.

Silne ramiona pochwyciły słaniającego się ku ziemi Marlowa i zaniosły go do basztowego pokoiku, gdzie przez następne dni kilka przeleżał walcząc w szponach śmierci.

Matka i córka czuwały nad nim z niestrudzoną cierpliwością, dniem i nocą nie odstępując jego łoża, na którem wił się w majaczeniach gorączki, spracowanemi piersiami z trudnością chwytając oddech. Ciężkie to było zadanie dla obu spracowanych kobiet, ale żadna z nich nie wyrzekała, nawykła będąc cierpliwie spełniać każdy obowiązek. Matka zdrzemnęła się czasem przy okopconem świetle oliwnej lampki, podczas kiedy chory zrywał się jakby pasując z niewidzialną jakąś mocą, ale córka udręczona śmiertelną trwogą, a podtrzymywana miłością, nie dozwoliła ani na chwilę strudzonym powiekom swoim spocząć i łagodną przemocą opanowywała szalone ruchy chorego. Jej to dłoń przeprowadziła go bezpiecznie przez ciemne przejście graniczące między śmiercią a życiem.

Pewnej nocy, przebudziwszy się z letargicznego snu, ujrzał w mdłem świetle lampy postać młodej dziewczyny klęczącej u stóp jego łoża. Ręce jej zaciśnięte były błagalnie, twarz blada i stroskana tonęła w niebie widnem przez mętną szybę okienka, usta drżące poruszały się w modliwie... w modlitwie za niego.

Pomimo, że wyrażała się w niezrozumiałem prawie, ludowem narzeczu, Marlowe podchwycił cichy szept na jej ustach; zrozumiał, że w prostocie swojej ślubowała Bogu, iż pieszo, o głodzie, odbędzie pobożną pielgrzymkę do cudownego miejsca i że w zamian za przywrócone mu życie poświęci jedyną ozdobę swoją jedyną własność: wspaniałe warkocze swoje, z których słusznie dumną być mogła. Ta czysta, dziewczęca miłość poruszyła go do głębi; coś podobnego do iskry elektrycznej drgnęło w jego sercu, nowy prąd żywotny wskrzeszając w żyłach, ogarnęło go dziwnie błogie i słodkie uczucie. Przymknął oczy z tem przeświadczeniem, że wstępuje weń nowe życie, i zasnął snem spokojnym i orzeźwiającym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.